Rok VI. Październik i Listopad 1904. Nr. 9—10.

TEKA

CZASOPISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ.

Wychodzi raz na miesiąc.

Od niewoli Moskiewskiej, Austryackiej, Pruskiej,
Wybaw nas Panie!
Adam Mickiewicz: „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego“

Jeden dzień w Sejmie galicyjskim.

Nawet najbardziej uprzedzeni przyznają, że dzisiejsza młodzież wnosi z sobą coś nowego do życia; że ma temparament, że odczuwa żywo wszystkie sprawy publiczne, że wykonywa nie jedną funkcyę obywatelską. — Lecz młodzież nie może robić wszystkiego; i tak źle, że tyle obowiązków publicznych spada na jej ramiona, że nie może się oddać w spokoju pracy naukowej, pracy nad rozwinięciem swych zdolności. Lecz jak tu się zachować, gdy się widzi u starszego pokolenia taki zupełny brak zmysłu politycznego, taką bezgraniczną opieszałość i lekkomyślność w sprawach politycznych, taki zanik prawdziwej myśli polskiej.

Kiedyś do mieszkańców Księstwa Warszawskiego mówił Kołłątaj: „Okażmy na tej małej części Polski, że godni jesteśmy być wielkim narodem.“ Jakżeby on ze zdaniem swem wyglądał w Galicyi! Wszak tu się wszystko właśnie robi, aby do tego celu nie dopuścić, aby uniemożliwić rozwój poczucia państwowości Polski.

Nie chcemy zarzucać naszemu Sejmowi złej woli; broń Boże! nawet do tego trzeba inteligencyi i energii; a właśnie tych rzeczy brak stanowczo naszej reprezentacyi galicyjskiej. Jak można od posiadaczy wiosek, siedzących całe życie na prowincyi zdala od wszystkiego ruchu umysłowego, wyposażonych ponadto i od urodzenia nie wielkim zapałem do nauki, a bynajmniej nie marnujących później czasu nad książkami — jak żądać od takich ludzi głębszego

oryentowania się w stosunkach; jak pragnąć by w mózgach innych, przesiąkłych kulturą niemiecką i austryackim sposobem patrzenia zrodziła się myśl polska? — A cóż wobec tej poważnej i przeważnej masy znaczy garstka inteligencyi, garstka ludzi wyższego pokroju, szybszej decyzyi i łatwiejszej myśli. Jednostki te giną w tłumie innych, grzęzną w atmosferze zgrzybiałości i apatyi ogólnej lub bledną wobec przewódców, którym urodzenie i stosunki włożyły wszystko w ręce.

Takie nie wesołe refleksye musiały przychodzić każdemu na myśl kto np. słyszał tegoroczną dyskusyę szkolną nad sprawami edukacyi narodowej, ową dyskusyę, przy której jeszcze niedawno brzmiał głos śp. Szczepanowskiego i płynęły nowe myśli, nowe hasła. Dziś zacny staruszek Czartoryski powtarza swoje znane, odwieczne frazesy o wychowaniu; biada nad tem, że młodzież pojawia się na galeryach teatru. Niezrównany przedmiot i źródło humorystyki, hr. Dzieduszycki, udaje poważną minę i wygłasza natchnioną mowę, z której sam później kpi przed studentami w kawiarni. Ks. biskup Pelczar w swojej niezrównanej poczciwości widzi największe zło w kartach korespondencyjnych i domaga się nadzoru policyjnego nad niemi.

Czekaliśmy z zapartym oddechem, by wyłowić choć jedną myśl nie natchnioną, wzniosłą — bo nie o to idzie — ale taką prostą, zdrową, jasną. Nic po za utarte frazesy, ogólniki, drobne banalne uwagi i słowa puste.

Więc to ma być wzór dla młodzieży i szkoła życia obywatelskiego? I takie jednostki mają zbudować podwaliny przyszłej Polski. Nie! co najwyżej zdolne są podpierać starą, rozlatującą się Austryę.

Trzeba nam nowych sił, trzeba obudzenia się zmysłu politycznego, prawdziwej miłości kraju i troski o sprawy publiczne. Czysta nauka, sztuka, filozofia, literatura wszystko to wielkie i piękne rzeczy — ale trzeba pamiętać, że los Rzeczypospolitej — to rzecz najważniejsza. A kto się tem zajmie? Czy możemy zostawić ster tych spraw w rękach, które dzisiaj niemi kierują. Ze smutkiem musimy sobie powiedzieć, że nie! że trzeba zabrać się do pracy, rozwijać świadomość i znajomość spraw politycznych, tego życia zbiorowego naszego narodu, bo nasze „niedojrzałe“ i „młode“ zdanie okazuje się częstokroć pewniejsze i wytrawniejsze od poglądów wytrawnych polityków; bo mamy przedewszystkiem to, czego tamtym niedostaje, instynkt polityczny polski, pozwalający

uczuciowo odgadywać rzeczy pożyteczne i szkodliwe dla naszej sprawy narodowej. Zdobywać coraz bardziej prawdziwe wykształcenie polityczne, wzmacniać to uczucie jasnym sądem i poglądem na wszystkie sprawy publiczne — oto nasze najważniejsze zadanie na dziś. —

Bo nikt nie wie, kiedy przyjdzie czas czynu i jak prędko okoliczności i warunki mogą nas powołać do szerszego działania w służbie tej wielkiej, Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

K. J.

Z życia młodzieży warszawskiej.

(Dokończenie).

Usiłując wniknąć w główniejsze i stalsze przymioty psychiczne, czyto dodatnie, czy ujemne młodzieży, najpierwej chyba ujrzymy z pośród ostatnich — trzy złowrogie, a bardzo niestety upowszechnione w nas cechy — lenistwo, lekkomyślność i bierność.

To, co stanowi o tężyźnie i sprężystości charakteru — pojęcie pracy, jako koniecznej podstawy zdrowia moralnego i fizycznego, jako wysokiego zadowolnienia samego w sobie, poważne i szerokie ujęcie życia, oraz zdolność samodzielnego działania — stanowi pośród nas zjawisko rzadkie. Wiele, wiele przyczyn zapewne się na to składa, i część tylko odpowiedzialności na nas spada, i rozmaite też okazują się tego skutki.

Najgłówniejszą przyczyną, zaznaczonego co tylko objawu jest bezwątpienia nasze wychowanie. W wyjątkowych tylko chyba wypadkach bywa ono rozumne i na jakichś naukowych zasadach oparte; w innych razach — dobrze jeszcze, jeśli jest żadne, bo zwykle bywa wprost średniowieczne. W stosunku do pracy, większość wychowawców zajmuje jeszcze stanowisko pradziadowskie, człowieka „bene nati et posessionati“, uważając ją jedynie za zło konieczne. Istotną treścią życia jest nie praca, lecz zużytkowanie wolnego czasu i pieniędzy przez pracę zdobytych. Takie też pojęcia i wśród większości nas w całym przepychu kwitną. Zasada karyery, to świadoma czy nieświadoma zasada kierownicza większości młodych istnień. Skutki tego są aż nadto widoczne, chociażby w naszych uczelniach wyższych. — Najbar-

dziej przepełnione są te wydziały, które dają w przyszłości nadzieję zdobycia możliwie najwięcej wolnego czasu i pieniędzy. Studyujemy też obrane nauki lada jak, aby szło, bo wszakże zasadą kierowniczą jest zdobycie wyżej wymienionych rozkoszy, drogą jaknajmniejszego zachodu. — Szacowne siły nie powinny być stargane w pracy! A siły młodzież ma, bo inaczej nie byłaby młodzieżą; — i później naiwni wychowawcy dziwią się, że młodzież, nie przyzwyczajona zużywać ich w pracy, wyładowuje je po knajpach i bilardach.

Młodzież, którąby wiedziała i czuła, że treścią i ozdobą życia jest praca, obierałaby sobie fachy nie najlżejsze, ale najbardziej ulubione, najbardziej z uzdolnieniami zgodne, i młodzież taka w szkołach-by się uczyła. U nas — żal powiedzieć — zdanie ostatnie jest tylko marzeniem! — Kierowanie się zaś młodzieży w obieraniu zawodu względami najłatwiejszej możliwie karyery wytwarza później szeregi pracowników bez zamiłowania i powołania; szeregi miernot ladajakich, które nie odpowiadają wzrastającym potrzebom kraju i zmuszają kierowników wszelkiego rodzaju przedsięwzięć do sprowadzania na odpowiedzialniejsze posady obcokrajowców.

A uczyć się u nas trudniej niż gdzieindziej, trudniej znacznie. Nasza szkoła, niedołężna, nieodpowiadająca wymaganiom czasu i zdobyczom pedagogiki, a w dodatku wroga, — do nauki i pracy nie zachęca, lecz zraża, zdolności umysłowych i charakteru nie kształci, lecz zabija. Rodzina wobec tego ma podwójne zadanie: i samoistnie kształtować charaktery i niebezpieczeństwu szkoły przeciwdziałać. A gdy rodzina nasza nawet jednemu z tych zadań podołać nie potrafi — czy to nie straszne?!... Przytoczone a rozpowszechnione u nas bardzo i w czynie stosowane pojęcie pracy określa już jeden sposób naszego zapatrywania się na życie, na cały ten niezmierny obszar różnorodnych zjawisk, który się oku młodzieńca przedstawia. Czy oprócz niego uczą go jakich innych sposobów zapatrywania się na nie, czy dają mu jeszcze inne podstawy światopoglądu? A jakże, a jakże! A zasady, panie tego, zasady przedewszystkiem! Jakże człowiek bez zasad może istnieć! W myśl tego uczą też nas wszystkich katechizmu. W wieku przedszkolnym wykuwamy suche, treściwe formułki, nie rozumiejąc ich wcale, — w pierwszych latach szkolnych pogłębiamy swą wiedzę przez powtórne ich przestudyowanie, z nie o wiele lepszym zrozumieniem. A potem? Potem dusza chłopca jest na łasce

Boskiej. Rośnie w niej i rozwija się to, co tam wiatr posieje. — A przylatuje on z pól i lasów, z podwórek i śmietników, z kredensów domów bogatych, z suteren i z poddaszy, z szerokiego świata całego. Jakichś uczuć, któreby duszę młodą rozpalały, jakichś wodzów, którzyby wyobraźnię młodą porywali — wychowanie dostarczyć się nie stara. Chyba, że dzieła Mayne - Reide'a, Cooper'a i Aimarda tę rolę pełnić mają. Dla panien jest przynajmniej Klementyna z Tańskich nieśmiertelna; — my nawet takiego wodza nie mamy.

A później się dziwią, że pośród młodzieży nie krzewią się zasady religii chrześcijańskiej, głębsze poglądy moralne. Ale skądże my mamy znać religię chrześcijańską, kiedy nas jej nikt nie uczył! Czy wyklepane bez zrozumienia w wieku dziecięcym formułki katechizmowe zdolne są stworzyć podstawy jakiegoś szerszego światopoglądu lub dojrzałej moralności? To też stan naszej moralności nie należy do wesołych. Na poczuciu obowiązku znacznej części naszego ogółu nie podjąłbym się zbudować jakiegoś przedsięwzięcia. Obowiązek — to złe konieczne; to coś, z czem się należy załatwiać z jak największej odległości i w możliwie najprędszy sposób. — „Ależ dowody, panie, dowody!“ woła ktoś do mnie. — Dowody? — spojrzyj pan w koło siebie uważnie, a znajdziesz ich dosyć!

Sformułować jakieś najbardziej śród nas rozpowszechnione zasady moralne nie podejmuję się. Większość ich, jak się zdaje, zasad takich wyraźnych i uświadomionych nie posiada. Czynami naszymi w życiu kierują przyrodzone szlachetne instynkty. A musi ich być jednak sporo, skoro nie zamieniamy się w bandę opojów i nicponiów, lecz stanowimy, acz niedoskonałe, to przeciętnie moralne społeczeństwo młodzieży. Jakże szkoda, że skarby te są prawie niewyzyskane!

Natomiast, jako zasada wyraźna i uznana, panuje u nas prawie powszechnie ów zabytek cywilizacyi nawpół barbarzyńskich w czasach obecnych wstrętny surrogat moralności — „honor“. To pojęcie konwenansowe honoru, co nawet „postępowcowi“ z pod czerwonej skóry, jako stary narów szlachecki, wyziera.

* * *

Etyka życia płciowego nie istnieje prawie. Tu wśród nas instynkt panuje niemal wszechwładnie. Jednostki, które - by swe

życie płciowe jakimś zasadom rozumowym poddawały (o ile te nie są tylko wykrętnem upozorowaniem instynktu), stanowią wyjątki. I znowu nie może być inaczej, bo wychowanie nasze całą sprawę hygieny i etyki płciowej zbywa dwoma przykazaniami dekalogu, a poza tem pozostawia wszystko własnemu biegowi rzeczy; i wielu z nas nim dorośnie do zrozumienia i poczucia potrzeby przeczytania jakiego dziełka wyjaśniającego i oświetlającego te sprawy, już przestaje być dziećmi. Widziałem tragiczne skutki zaniedbania zupełnego tej strony wychowania. Nie mówiąc już o nizkim poziomie ogółu w tym względzie, widziałem przedziwnie czyste charaktery, które wskutek zupełnego braku należytego kierunku, rozsądnej a życzliwej wskazówki ulegli na tym punkcie zboczeniu, które się stało później dla nich niewyczerpanem źródłem katuszy moralnych, zachwiało na długo, jeśli nie na zawsze, równowagą jasnych, lecz słabych dusz. Smutna to a poważna, groźna sprawa.

Rozumie się, że ogólny brak umiejętności poważnego pojmowania życia, znakomicie się przyczynia do ułatwienia młodzieży upadku w tym względzie. Brak poważnego pojmowania życia, który jest u większości z nas wprost następstwem koniecznem. Bo wszakże poważnie rozumieć życie, szanować je, widzieć w niem szereg obowiązków, może tylko ten, kto swoją łączność z tym życiem, ze środowiskiem, do którego jest przywiązany, rozumie i czuje. Nasze wychowanie tego zrozumienia ani odczucia w nas nie budzi. Kształtuje ono przeważnie jednostki, których łącznik z życiem stanowi zwykle sztuczne utworzone na podstawie poezyi i wspomnień przeszłości pojęcie ojczyzny przez poznanie i umiłowanie jej życia teraźniejszego, z całym milionem jego potrzeb, z całem piekłem jego bólów i smutnych radości — nie jest niestety wychowaniu naszemu znanem.

Zatem brak wśród większości nas poczucia organicznej na śmierć i życie łączności z narodem, brak zrozumienia jego losów, dążeń i potrzeb, brak pojęcia naszej woli w całem jego zawikłanem i trudnem życiu, słowem brak uspołecznienia, którego wychowanie nam nie daje, jest niezbędnym powodem tak powszechnej u nas lekkomyślności i marnotrawienia sił. Wada bierności, słabości woli, wada najmniej z wytkniętych trzech społeczna, najbardziej indywidualna, dość szeroko była i bywa w piśmiennictwie naszem omawiana, żeby się tu dłużej nad nią zastanawiać. Wyżej wskazane braki wychowania naszego w znacznym stopniu do pow-

stania jej się przyczyniają, reszta przyczyn jest ogólnie znana i do odgadnięcia nie trudna. — Wytknięcie tych trzech znacznych i po ważnych wad, wraz z zajrzeniem w miarę sił oraz stosownie do warunków czasu i miejsca do ich przyczyn i skutków, wyczerpuje chyba stronę ciemną psychicznego obrazu naszego młodego społeczeństwa. Na tych punktach jesteśmy słabi, tem głównie grzeszymy. Inne, drobniejsze życia naszego usterki z tych kardynalnych wad wynikają, lub też są mniejszej wagi o tyle, że wobec wyszczególnionych stron ciemnych na wymienienie nie zasługują.

Trudno zresztą kusić się o wykończenie drobiazgowe obrazu, w warunkach, w których zaledwie szkic niedokładny dać można. Zresztą uświadomienie sobie dokładne trzech wad wytkniętych i zgodne, usilne wytężenie sił ku ich opanowaniu, to już doprawdy byłoby nie mało.

A teraz spójrzmy cóż mamy za sobą, co pozwala nam z otuchą w przyszłość spoglądać i z podniesionym czołem iść naprzód?

Mamy przedewszystkiem bardzo sporą procentowo garść ludzi, którzy już więzy lenistwa zrzucili i którzy poznali i ukochali pracę dla niej samej, jako treść życia i wcielenie idei, ludzi, którzy pracują wytrwale i dużo, może nawet za dużo, i przez to, że za dużo, że na zbyt wielu polach naraz, może nie zawsze dokładnie. Ale to już nie ich wina; to trudno! Za dużo mamy jeszcze panów, którzy, na cele narodowe „z zasady“ sił ani środków nie udzielają*), zanadto innych co w pozie Katonów wymyślają wciąż młodzieży za jej wtrącanie się do nieswoich rzeczy, których katonizm jednak tam się kończy, gdzie ich słowa, a których czynów nikt na świecie nie oglądał, którzy pod maską świętobliwego oburzenia i krytyki w wielkim stylu kryją przeraźliwą pustkę moralną! Takich za dużo. Mamy jeszcze kilkakroć więcej ludzi zdolnych, którym tylko brak odpowiednich podstaw moralno - społecznych, aby swe zdolności wyzyskać i ku pożytkowi ogółu obrócić, którzy więc są w zupełności do zdobycia, jeśli nie teraz, to w pokoleniach przyszłych, którzy się znajdą kiedyś w szeregach pracowników. Mamy powoli wprawdzie, ale stale rozwijający się ruch umysłowy, mamy w pokoleniach najświeższych młodzieży niewypowiedzianie radośny objaw zwrotu w kierunku poważniejszego patrzenia na

*) Odpowiedź pewnego bardzo eleganckiego pana podczas zbierania podatku na sprawę siedlecką.

życie, w kierunku usiłowania pojęcia go i pożądaniu pracy w kierunku usiłowania podniesienia się moralnego (mówię o kierunku etycznym szerszym i płciowym w niektórych sferach młodzieży szkół średnich i wyższych).

Ha, juźci tego wszystkiego po imieniu nam nie nazwać, bo w wielkiej „cenzorowskiej roli á la Scriptor tu nie występujemy, ale tak jest, tak jest, — z głębi radosnego serca to mówię. — zaprawdę tak jest.

Mamy jeszcze przecież nasz typ „dobrego chłopca“, którego tylko mocno weź, a pokieruj, a chociaż generał z niego z pewnością nie wyjdzie, lecz zato szeregowiec świetny; no mamy wreszcie i tego warchoła, co to w bezpłodnych awanturach siły zużywa, ale nastroić go na odpowiedni dyapazon, a kto wie, czy gór nie dźwignie.

Z tem wszystkiem jednak można patrzeć w przyszłość.

Można wyzywać przyszłość i o lepszych czasach marzyć, bo pomimo niezmiernie trudnych warunków wychowania, wyrabiania się i życia naszego, pomimo tak silnych, jak wytknięte wyżej, trapiących je niedomagań społecznych i moralnych, mamy jednak dość siły na to, aby to życie nasze, życie młodzieży jako całość — wypełnić.

Bo spytajcie tylko, ilu z pośród nas uzupełnia w sposób najrozmaitszy poza murami nie odpowiadających zadaniom uczelni swe wykształcenie; spytajcie, ilu synów chłopskich nauczyło się dzięki nam czytać; spytajcie do ilu serc biednych, z bruku wziętych dzieci zajrzało po raz pierwszy światełko wiedzy, miłości i ideału, w postaci ukochania Ojczyzny. Spójrzcie na jaką bądź dziedzinę pracy społecznej, a zobaczymy, czy nie znajdziecie gdzieś tam u dołu, gdzieś tam gdzie najbardziej pracować trzeba, cichego studenta! A po za tą pracą, która acz znaczna, tak doszczętnie wsiąka w pokład ogromu potrzeb społecznych, że się niewidzialną staje, tyle nam jeszcze zostaje energii, (a raczej dzięki brakowi odpowiedniego kierunku wychowawczego tylu z nas jeszcze energii swej w tej pracy nie zużywa), że gromadzi się ona i wybucha czasem niespodzianie i nagle, jak raca z trzaskiem i ogniem, wysoko ponad poziom szybko, ale cicho i w odosobnieniu płynącego życia naszego. Taką racę każdą dopiero notują skwapliwie Scriptorowie, a na podstawie hałasu, jakiego narobiła, iskier, jakie rozsypała — tworzą przemądre i przedziwnie sumienne teorye o młodzieży.

To specyalnie zaborowi rosyjskiemu właściwe kształcenie się pozaszkolne, prowadzone w najrozmaitszy sposób, przy niewielkim i biernym po większej części udziale starszych, wytwarza w umysłach młodzieży olbrzymi chaos i gmatwaninę pojęć, nie przyczyniające się zapewne do odpowiedniego wymaganiom czasu podniesienia jej cywilizacyjnego. To też nigdy nie dosyć usiłowań, które ten rozproszony i niezgodny ruch w jakąś przynajmniej formalną całość ująć pragną i stopniowo chociaż powoli w tym kierunku się posuwać. Osiągnięcie jednak zupełne tego celu jest fizycznem wprost niepodobieństwem i chaotyczność i dorywczość tego naszego kształcenia się w części chociażby zawsze zapewne będzie istniała. Obecnie jest ona jeszcze bardzo znaczna i powoduje wielką wśród nas rozmaitość typów umysłowych. Spotykamy tu chrześcian w nieubłaganej konsekwencyi dochodzących do przekonania, iż poza własnem „ja“, nad udoskonaleniem którego pracują, ani naród, ani społeczeństwo, nic ich wogóle obchodzić nie powinno. Spotykamy ateuszów, którzy z biegunowo przeciwnych założeń wychodząc, do tych samych mniej więcej dochodzą wniosków, spotykamy wreszcie marksistów, lesser-faire'ystów, bernsteinowców, indywidualistów, kresowców (sic!), anarchistów, arystokratów zwyczajnych i „arystokratów ducha“ nietzscheanistów, tołstojowców, lutosławczyków, przybyszewczyków, snobów, filistrów i kto tylko czego zapragnie. Wszelkie te luźne, pokawałkowane, chaotyczne „nastroje przekonaniowe“ służą za podłoże, za tło dwom głównym prądom nie tylko społecznym, lecz jednocześnie umysłowo przekonaniowym, jakie i w naszym młodym świecie panują, prądom, które w naszem środowisku ochrzczono jako „narodowy“ i „postępowy“. Przeciwstawienie tych dwu terminów, jest najkonieczniejszą (a może najsmutniejszą) niedorzecznością, wyprowadzoną w celach agitacyjnych przez jedną z naszych partyj społecznych i narzuconą biernemu umysłowo i politycznie ogółowi. Kierunek ogólny i zabarwienie przeważne naszemu rozwojowi umysłowemu nadaje niewątpliwie ten prąd, który nasz ruch naukowy tak skutecznie w wieku ubiegłym rozbudził, który naszą literaturę poważną wytworami swemi w tak przeważającej liczbie wypełnił — mianowicie pozytywizm. On był istotnym krzewicielem, a stał się także niejako formułką i warunkiem „sine qua non“, myśli postępowej. Ale w pozytywiźmie warszawskim, który nie był bynajmniej jakimś prądem istotnie jednolitym, stopiły się, a raczej mechanicznie się połączyły rozliczne pierwiastki. Przedewszystkiem znalazł się tam pozytywizm

francuski, który — nawiasem mówiąc — już w ojczyźnie swojej od początku, bo od teoryi Conte'a popadł w istotnie sprzeczny ze sobą racyonalizm; a obok niego spekulatywny idealizm niemiecki, w osobach jego społeczno-ekonomicznych transformatorów Marx'a, Engelsa, Bebla i t. d.; wreszcie nie brakło i pierwiastku istotnego pozytywizmu, idącego z Anglii, opierającego teorye swe na badaniu faktów przedewszystkiem. Wszystko to było spojone ze sobą tak luźnie, że z tego samego ruchu mogły wywiązać się i rozwinąć wręcz rozmaite kierunki umysłowe i społeczne; jakoż w istocie się rozwinęły. Z jednej strony pozostał kierunek względnie nowy, bo zasady ogólne krytycznie zastosowujący do najbliższego otoczenia i z badania stosunków rodzinnych wyciągający wskaźniki dalszego rozwoju narodu i jego polityki, będący konsekwentnem zastosowaniem teoryi organicznej i ewolucyjnej do polityki — kierunek narodowy. Z drugiej zjawił się inny, bardziej ku apriorystycznemu idealizmowi i racyonalizmowi skłaniający się, na nich wprost oparty i we wszystkie ich krańcowości i sprzeczności wpadający — socyalizm polski, który dla czegoś sobie wyłącznie przywłaszczył cechę postępowości (nie mówię tu o najnowszych ewolucyjnych prądach w socyaliźmie).

Te dwa kierunki i pośród młodzieży się rozkrzewiły, i tu właściwy glebie przyjęły charakter. Gleba zaś, jakeśmy to już określili wyżej, bardzo była bierna. Z jednej strony bierność ogólna usposobienia, przez wychowanie nam zaszczepiona, wyrobiła się pośród nas, z innej — bierność umysłowa, będąca skutkiem chaotycznego, nieporządnego i słabego wykształcenia, które nie wytwarza silnych i samodzielnych indywidualności umysłowych, co-by nurtujące w społeczeństwie prądy krytycznie przyjąć mogły, przerobić je własną pracą myśli i uczucia, i jakieś swoiste zabarwienie im nadać. Stąd większość nas przyjmuje stworzone przez przewódców tego lub owego kierunku formułki nadzwyczaj prawowiernie i pod ich hasłem walczy z namiętnością ślepą. Cecha ta stanowi właściwość ogółu młodzieży naszej. Nie tylko socyaliści, których taktyka z tradycyi dawnej odznacza się już swą apodyktycznością, nieugiętością i nie znosi żadnych dyskusyi (vide ostatnie zjazdy socyalistów niemieckich i sprawa rewizyonistów), lecz nawet druga strona, której ewolucyjna doktryna, a właściwie brak doktryny, tyle miejsca pozostawia twórczości osobistej jednostek, tą ortodoksyjnością tamtej dorównuje. Dlatego też stosunki dwu przeciwnych obozów młodzieży tak ostry i zaogniony przyjmują u nas

charakter. Bo stosunek „credo quia absurdum“ rozciąga się przez nas nie tylko na zasady, z któremi sympatyzujemy, lecz i na czynności ludzi, którzy zasady te w danej chwili reprezentują. Nie umiemy prawie idei zasadniczej odróżnić od cech jej dorywczych i przejściowych. Ta bierność umysłowa i wynikła z niej ciasnota pojęć uwidocznia się w naszych dyskusyach koleżeńskich, o ile się wywiązują pomiędzy ludźmi różnych przekonań — zdumiewa wówczas ich jałowość, zdumiewa to, że polegają one często jedynie na pokornem przytaczaniu słów mistrzów. Te same cechy wytwarzają u nas wstrętną metodę propagowania idei własnych, polegającą na spotwarzaniu przeciwnika — właściwą niestety ludziom „postępowym“; powodują to, że bohaterem i wzorem działacza społecznego dla wielu z pośród nas może się stać taki Niemojowski.

Tyle w ogólnym charakterze dwu głównych, zakrzewionych u nas prądów społecznych. Typy wyznawców ich — cechom zasadniczym samych prądów odpowiadają.

U narodowca więcej patrzenia lub przynajmniej usiłowania patrzenia w życie, choć częstokroć przez okulary przez mistrzów podane; więcej obserwacyi życia i kierowania się wskazówkami z niego wyciągniętemi, obok czasami niezupełnie uświadomionych celów ostatecznych, więcej — rzekł bym — szkoły życia społecznego i więcej czynu, przez to też daleko większe poszanowanie życia i otoczenia, poważniejsze znacznie traktowanie istniejącego stanu rzeczy i rodzimego społeczeństwa; większy spokój i równowaga poglądów własnych, a przez to większy szacunek dla zdania innych — więcej zdrowia w szerokim i wszechstronnym tego słowa rozumieniu, czasem obok braku polotu, umiejętności szybkiego operowania pojęciami i subtelności w dyskusyi.

Po drugiej stronie — u socyalistów — oprócz jeszcze większego, a z istoty podstawowych teoryj wynikającego, jak to zaznaczyłem wyżej, nałogu przysięgania „in verba magistrii“ i ślepej wiary w zasady przewodników — znajdziemy dużo wiedzy teoretycznej, często erudycyi umysłowej, ale też i rozpatrywanie życia w takiej mierze „sub specie aeternitatis“, że się go aż prawie nie widzi zupełnie i całą działalność na teoryi i abstrakcyi wyłącznie buduje. Znajdziemy tu większą żywość, częstokroć większy rozmach, ale też przesubtelnienie umysłowe czy też ciasne zacietrzewienie tak wielkie, że prowadzące aż do wytworzenia zasad niezastosowanych w życiu, w rodzaju twierdzenia, że skoro Rosyanie nas cisną, my właśnie musimy usiłować zrównać ich ze sobą we wszystkich dziedzi-

nach społecznych, aby przez to — upokorzyć ich moralnie, lub w rodzaju owego, sławnego już określenia — że wszelki i jedyny postęp polega na ateiźmie w dziedzinie przekonań osobistych, materyaliźmie dziejowym w zakresie badań społecznych i pozytywiźmie w dziedzinie badań filozoficznych. Obok istotnej często inteligencyi spotkamy tu także dużo pozorów, dużo ciasnoty i bezwzględności; zręczność i wytrawność i wielkie upodobanie w dyskusyi, w słownych subtelnościach i teoretycznych (przypominających czasem ś. p. scholastykę) zaciekaniach się — i mało czynu. Ostatniemi snadź z cech wymienionych da się wytłumaczyć fakt, że wszelkiego rodzaju dekadenci i nerwowcy, pospolite leniuchy, oraz zamożni dyletanci życia, zaliczają się zawsze, nie bacząc na radykalizm społeczny tamtej strony, do ich obozu. Zdobyć sobie rozgłos inteligenta i postępowca przy pomocy jedynie nauczenia się kilkunastu ładnie brzmiących słow — nie trudno, a później za tym parawanikiem można sobie tak wygodnie i mile życie urządzić!...

Takie zasadnicze cechy noszą śród nas kierunki narodowy i drugi „postępowy“, oraz narodowcy i „postępowcy“. Podobne cechy nosi i ich postępowanie, czyli — „á la Scriptor“, szumnie się wyrażając — ich polityka. U pierwszych więcej czynu różnorodnego, więcej związku z całem życiem rodzimem, a przez to więcej przywiązania do niego — patryotyzmu, u drugich zaś: więcej teoretyzmu i koturnowej, wszechludziej pozy, więcej zaciekań abstrakcyjnych, które czasem wytwarzają rzetelne rozwinięcie umysłowe, lecz też często strasznie opancerzają umysł przeciw wszelkim zagadnieniom żywotnym prawdziwego życia.

Kulminacyjnym punktem — rozpatrzeniem czynów młodzieży jednego i drugiego kierunku należałoby zakończyć ten pobieżny przegląd naszego życia. To jednak właśnie jest najtrudniejsze. Żyjąc i pracując pośród ludzi jakichś jednakich przekonań można poznać idee i przekonania innych, odmiennych grup — nie sposób poznać dokładnie ich czynów. Wygląda to na paradoks. W warunkach też życia każdego innego społeczeństwa byłoby nim — u nas jest tylko wyrazem odrębności sposobu naszego istnienie. Nie chcąc więc być w końcu jednostronnym, wolę całkiem tej ostatniej sprawy zaniechać. Kto umie patrzeć, temu wyjaśnienie tych podstaw przekonaniowych dwu kierunków naszych i ich podglebia psychiczno-obyczajowego ułatwi osądzeniu, co w czynach naszych jest istotowego i zasadniczego, co z naleciałości i uchybień pochodzi. Temu, co naszej pracy widzieć i rozumieć nie chce, lub chce poj-

mować ją według z góry powziętych założeń i uprzedzeń, trudno wogóle coś wyjaśnić. Zresztą dla nas samych przedewszystkiem jest to nad sobą zastanowienie się.

Oto całą dziedzinę życia naszego, jak ją rozumiem, przebiegłem. Na przestrzeni zbyt szczupłej poruszyłem może zadużo spraw, poruszyłem, a nie wyczerpałem. Ale tem skwapliwiej rzucam te myśli pod sąd ogółu. Praca, wiele spraw poruszająca, a zawierająca z pewnością niedomówienia, a zapewne i usterki, wywoła niechybnie krytyki, sprostowania, uzupełnienia, stworzy wymianę zdań i różnostronne sprawy oświetlenie. A wszak to dla naszego wzajemnego poznania się najbardziej jest pożądane.

Ro.

Spór o nazwę i hasła.

Zdumiewającem jest działanie suggestyi na ogół naszych warstw oświeconych. Uleganie wpływom upartych i wytrwałych wmawiaczy tak się u nas rozpowszechniło, że dość jest kilkudziesięciu sprytnym żonglerom frazesu rewolucyjnego lub wytrawnym ambasadorom cudzych interesów w łonie naszego społeczeństwa powtarzać stale na różne tony jedną i tę samą bajkę wierutną, fałsz oczywisty lub płytkie oszczerstwo, ażeby w nie uwierzono, uznano za stwierdzone. Zdaje się, że nie zbyt się oddalę od prawdy, gdy podobnym wpływom przypiszę artykuł kol. Sępa w nrze 8-mym „Teki“. Nie darmo Krytyki, Kraje, Przedświty, Prawdy, Promienie, Czasy wołały, wdziewając togi katonów, wielkim głosem: nacyonaliści są amatorami cudzej własności narodowej, nacyonaliści obniżają poziom etyczny, nacyonaliści wnoszą niezgodę we własne społeczeństwo, nacyonaliści Polacy dążą do wytępienia Rusinów, Litwinów i żydów, nacyonaliści szczując na obcych, robią tanim sposobem patryotów i t. p. — część społeczeństwa łatwowiernie dała sobie bezwątpienia wmówić te opinie zgodnego chóru większości naszej prasy. Ta słaba odporność społeczeństwa na powierzchowne lub zgoła fałszywe definicye i opinie o rzeczach, nad któremi samo nie stara się zastanowić, da się wytłómaczyć słabem politycznem wyrobieniem ogółu, brakiem szybkiego oryentowania się w kwestyach narodowo-społecznych, które to przyczyny znów wy-

nikły z fatalnych warunków trójzaborowej egzystencyi naszego narodu. Większe już zdumienie wywołuje poddawanie się podobnym wpływom ludzi jako tako obznajomionych z polityką. Ale trudno wprost uwierzyć, ażeby n. p. nacyonalista, całem swem rozumowaniem dokumentujący wybitnie nacyonalistyczny sposób myślenia, ściślej: patrzący na sprawy społeczno-polityczne pod kątem widzenia narodowego dobra, ażeby nacyonalista taki pod wpływem suggestyi wyrzekał się swej nazwy. Jest to zjawisko dziwnie przykre i nienormalne.

Że obecny kierunek narodowy w Polsce, któremu hołduje, jeśli się nie mylę i sam Sęp, zupełnie słusznie nazwano nacyonalizmem, postaram się udowodnić.

Przedewszystkiem małe wyjaśnienie: nie chodzi tu o etykietę stronnictwa; nasz prąd narodowy nie ma potrzeby dawać stronnictwu przez się wytworzonemu egzotycznej nazwy stronnictwa nacyonalistów na wzór francuski; polska partya polityczna, będąca organizacyą tego kierunku, jak wiemy, znalazła już dla siebie oddawna nazwę daleko głębiej i trafniej politycznej jej działalności charakteryzującą całokształt, nazwę stronnictwa demokratyczno-narodowego.

Ale, wyszedłszy po za granice naszej ojczystej ziemi, musimy stwierdzić, że jako prąd polityczno-społeczny, jako objaw analogiczny do prądów istniejących u wszystkich cywilizowanych narodów, kierunek narodowy u nas jest nacyonalizmem. Wogóle nie można trafniej określić kierunku, który dobro narodu lub, jak niektórzy publicyści wolą, interes narodu uczynił osią swych dążności. Nazwa ta nie jest ani hańbiącą, ani niewłaściwą.

To, że nacyonaliści francuscy cieszą się nieszczególną opinią wśród bardziej wyrobionych kół politycznych w Europie — nie wchodzę w to na razie, czy zasłużoną — nie powinno nas nic a nic wzruszać.

Solidarność wśród nacyonalistów różnych narodów nie obowiązuje; zasadniczo: — nawet istnieć nie może! Czasowa solidarność powstawać może jedynie na gruncie wspólnych interesów narodów, które ci lub owi nacyonaliści reprezentują.

W znaczeniu partyi politycznej, jak np. socyaliści, ultramontanie, anarchiści, etc. — nacyonalizm międzynarodowym być nie może. Nacyonaliści różnych narodów muszą mieć cele różne, częstokroć sprzeczne, walczyć muszą z sobą zacieklej, niż z prądami innej kategoryi we własnym narodzie; co ich łączy pod jedną

nazwą, to jedynie stosunek do własnego narodu, dążność do zapewnienia mu jak największego dobra.

Na charakter nacyonalistów jakiegoś narodu, jako stronnictwa politycznego wpływać musi: z jednej strony rodzaj potrzeb narodu, z drugiej poziom jego etyczny i charakter.

Nacyonaliści pruscy dla tego są brutalni i bezwzględni, że obecnie takim jest charakter tego narodu w najbardziej rozwiniętej politycznie jego części; środki ich polityki dla tego wstręt obudzają w cywilizowanych społeczeństwach, że poziom etyczny tego narodu jest barbarzyńskim; nacyonaliści angielscy dla tego mają dążności imperyalistyczne, że takiemi są potrzeby ich społeczeństwa.

To wszystko usunąć musi obawę, że grzechy nacyonalistów francuskich, wady nacyonalistów niemieckich, wraz z nazwą nacyonalizmu zostaną włożone na barki stronnictwa demokratyczno-narodowego. Czynić to są w stanie tylko ludzie nieuczciwi, lub nieoryentujący się w znaczeniu wielkich prądów społeczno - politycznych.

Tak się przedstawia rzeczywisty stosunek nacyonalistów obcych narodów do nacyonalistów polskich.

Tych ostatnich specyalnie Sęp zwalcza w osobach Dmowskiego i Studnickiego, zwłaszcza pierwszego.

Trudno zdać sobie sprawę, dla czego tych właśnie autorów uważa Sęp za przedstawicieli nacyonalizmu polskiego a innych teoretyków demokracyi narodowej — nie! Czyżby tylko dla tego, że ci mówią, iż są nacyonalistami, a inni tej kropki nad *i* nie stawiają?

Zdaje się, że tak się rzecz miała w istocie. Jest to błąd duży ze strony Sępa, bo aczkolwiek w M y ś l a c h n o w o c z e s n e g o P o l a k a zawarte jest istotnie wiele cech, właściwych nacyonalizmowi polskiemu, acz Studnicki bezwątpienia jest nacyonalistą, to jednak bardzo wiele ogólnych najgłębszych podstaw nacyonalizmu polskiego zawierają przedewszystkiem: E g o i z m n a r o d o w y Balickiego, dalej wiele innych pism Dmowskiego, Balickiego, Popławskiego, Topora, Gierałtowskiego, i wreszcie wogóle wszelkie publikacye obozu narodowców. Z drugiej strony zaledwie część cech, przypisywanych nacyonalizmowi jest mu w istocie właściwą; tak samo tylko niektóre z grzechów, o które Sęp obwinia Dmowskiego, dałyby się wyśledzić w jego M y ś l a c h, większość

zarzutów leży w obrębie insynuacyi, najczęściej w dodatku gołosłownych.

Do tych cech, które w istocie są właściwe nacyonalizmowi polskiemu, czyli narodowej demokracyi, a które nie podobają się kol. Sępowi, a więc mogły by jedynie dać mu powód do wyrzekania się tej nazwy, — należy przedewszystkiem skondensowanie patryotyzmu do miłości narodu. Sęp zaznacza, że patrotyzm zawsze od swych najpierwszych przejawów występował, jako stosunek uczuciowy do państwa.

Nie podoba mi się nowoczesny patryotyzm dla tego, że zamiast państwa czyni przedmiotem swego uczucia naród realny! Dziwne, zaiste niezrozumiałe stanowisko! Sęp nie uważa tego za najszczytniejszy patryotyzm, co Dmowski w następujących podniosłych słowach swego wstępu tak głęboko określił: „Jestem Polakiem — to znaczy, że należę do narodu polskiego na całym jego obszarze i przez cały czas jego istnienia, zarówno dziś, jak w wiekach ubiegłych i w przyszłości.“ — To Sępa nie zadowala! Cóż więc daje nam w zamian, jakiż surogat kładzie jako przedmiot uczucia patryotycznego zamiast żyjącego narodu, tego, tak konkretnego, a zarazem ogarniającego najwyższe funkcye życiowe jednostki? — Patryotyzm według niego polegać winien na przywiązaniu do ziemi rodzinnej i do form państwowych. Określenie krótkie i jasne; szkoda, że nader ciasne i nieodpowiednie. Zupełnie wystarczyć by mogło chyba tylko patryocie austryackiemu. W austryackiej szkole wojskowej uczą iż *Pflichtsgefühl, Treue und Vaterlandsliebe* jedynemi są uczuciami, które żywić winien żołnież Przedlitawii. Bliższem określeniem tej *Vaterlandsliebe* mogła by być także tylko „przywiązanie do ziemi rodzinnej i do form państwowych:“ — austryackiego języka, ani narodu, ani cywilizacyi nie ma! Ale patryotyzm austryacki jest jeszcze wyższym od tego, jaki nam Sęp proponuje dla Polaków, jako starodawny, uświęcony tradycyą upadłej Rzpltej sposób miłowania ojczyzny: austryacki patryota ma przynajmniej do kochania i formy państwowe i ziemię rodzinną; my zaś, pierwszych nie mając, do tej ostatniej skurczyć byśmy musieli nasze pojęcia ojczyzny! Dla Sępa wzorem patryotów byli ci sejmikowicze z czasów Rzpltej, którzy kochali Polskę tylko za jej formy państwowe za to, że dawała im przywileje, nie zmuszając do ofiar dla dobra publicznego. Sępowi podoba się niezmiernie, że w dawnej Polsce „miłość ojczyzny polegała głównie na gorącem ukochaniu tego, co

w niej najbardziej ceniono, owych swobód bezgranicznych, bezmiernej wolności, a jednak przecie tego rodzaju uczucie nie jest jeszcze wcale patryotyzmem, a poprostu egoizmem! Zgoda, że na takim podkładzie może wyróść najwięcej bezinteresowne uczucie patryotyzmu, ale dopiero może się wytworzyć wtedy właśnie, kiedy ta egoistyczna nuta zniknie w jednostce. Przecież, zgodziwszy się na podobne określenie patryotyzmu, musielibyśmy rozgrzeszyć targowiczan z ich zdrady, ponieważ oni istotnie występowali przeciw ograniczeniu praw jednostki na korzyść całości, występowali właśnie w obronie tych swobód bezgranicznych, tej bezmiernej wolności.

Używając tak absolutnych epitetów, Sęp wykuł broń na samego siebie, bo właśnie brak miary i granic w pożądaniu swobód, recte przywilejów, nie był wcale patryotyzmem, a naodwrót anarchią, doprowadził pseudopatryotów do zdrady i zguby własnego, niby tak ukochanego Państwa. Kto zna dzieje walki reformistów Sejmu Czteroletniego z konserwatywnymi obrońcami złotej wolności, ten nigdy nie poważył-by się określać patryotyzmu, jako przywiązania do form państwowych. Czyż bowiem można się wahać z odpowiedzią na pytanie, kto był większym patryotą, czy Twórcy Ustawy Majowej, śmiało i pewną ręką ukrócający „bezmierne swobody", znoszący prawo wolnego protestu „źrenicę wolności" i prawo wolnej elekcyi w imię potrzeb narodu, czy obrońcy wolności szlacheckiej, którzy w osobie najszlachetniejszego ze zwych przedstawicieli wołali: „Gdyby kajdany wkładać miano przez sukcesyę na Polaków, a inaczej nie można zrzucić, jak być Prusakiem, Moskalem lub Austryakiem — będę nim." „Chcę ojczyzny bronić dlatego, żem wolny; ale jeżeli będzie łożem despotyzmu, gardzę nią i oświadczam się nieprzyjacielem Polski."

Sęp przez swe określenie patryotyzmu mimowoli stwierdził uwagę najgłębszego naszego historyka Korzona, wypowiedzianą á propos takiego pojmowania miłości ojczyzny: „że i dziś jeszcze po stuletnich doświadczeniach występny obłęd w przenoszeniu formy nad treść istnienia narodowego nie jest należycie z umysłów wyluzowany".

Sęp znajduje w tem pewne wytłumaczenie, że dla niego istnieją tylko dwie alternatywy: albo przywiązanie anarchiczne do owej bezgranicznej, bezmiernej swobody, albo poddańcza wierność dla tronu i panującego rodu."

Tak tylko daje się wyjaśnić zarzut, ciśnięty bezwzględnie Dmowskiemu, jakoby narzekał, że staropolski patryotyzm „nie ukształtował się na modłę poddańczą!“

Ponieważ Dmowski zaznacza, że patryotyzm szlachecki „zwyrodniał, ustępując miejsca nieograniczonemu przywiązaniu do swobód i przywilejów, zdolnemu szukać ich obrony u obcych przeciw własnemu państwu“, więc Sęp, który nie uznaje, czy też nie zna formy patrotyzmu, polegającej na tak ścisłem zespoleniu się z narodem, iż dla dobra całości jednostka staje się zdolną do ofiar z osobistych przewilejów i swobód, — posądza go o hołdowanie ideom państwowym despotyzmu!

Zamiast konkretnego narodu, próbuje Sęp wysunąć na pierwszy plan uczuć patryotycznych przyszłe państwo polskie. Zdaje się jednak, że taka fikcya nieistniejącego państwa polskiego, nie oparta na czemś realnem, na narodzie, — nikogo uczuciem rozgrzać ku sobie, posłużyć za punkt wyjścia do akcyi na wielką skalę nie może. Kierunek narodowy naszej polityki dla tego tylko dąży szczerze i świadomie do wytworzenia nowego Państwa Polskiego, że jest ono nader realną potrzebą żyjącego Narodu Polskiego, że naród nasz nie może żyć pełnią życia, nie mając samoistnej państwowej organizacyi.

Sęp kwestyę pojmuje inaczej: on nie może się zgodzić ze zdaniem, że „państwo polskie stworzy przedewszystkiem naród polski z rdzennie polskiej ludności złożony, polską żyjący kulturą“. Nie tylko mu jest przeciwnym, ale uważa tego rodzaju stawianie kwestyi za „zabicie rzetelnego dążenia do państwowego bytu“.

Ze zdziwieniem mimowoli pytamy, skąd tak nieproporcyonalnie ostra opinia o tak pięknem zdaniu? — Otóż Sęp się obawia, by nacyonaliści nie wykluczyli Rusinów i Litwinów i — kto wie, czy nie przedewszystkiem, — Żydów, co do których dziwnym jest optymistą, — od wspólnego korzystania z owych „bezmiernych swobód“, jakie na wzór dawnej Rzpltej panować zapewne będą w odbudowanem Państwie Polskiem; kierowanie nawą tego ostatniego Sęp z ochotą powierzyłby żydom na mocy zdolności, wykazanych przez nich w kierownictwie partyą socyalistyczną w Niemczech!

Sęp znów fatalnie upraszcza sobie kwestyę odbudowania Polski: albo się jest nacyonalistą i pragnie się pożreć wszelkich Rusinów, Litwinów, żydów, zadawalniając rekinowate instynkty, i dopiero po pożarciu tych niewinnych narodów wybudować na

wzór pruski nowe państwo Bojaźni Bożej i Dobrych Obyczajów, co oczywiście jest niemożliwem i wstrętnem, — albo się powołuje do wspólnej pracy nad odbudowaniem państwa wszystkie żywioły wchodzące w skład dawnej Rzpltej, połączone jakoby kilkuwiekową tradycyą i najściślejszemi związkami swych członków (? — Zaiste podziwienia godny optymizm!) Autorowi nie przychodzi do głowy, że można być nacyonalistą i bynajmniej nie żywić kanibalskich chęci względem pobratymczych szczepów, że można twierdzić, iż przedewszystkiem naród nasz państwo odbuduje, a pomimo to ludów, związanych z nami wspólnymi interesami politycznymi z przyszłego państwa nie wyłączać.

Należy tylko zdawać sobie sprawę, że najwięcej zainteresowanymi w odbudowaniu Państwa Polskiego są i pozostaną jedynie Polacy; oni sami wytworzyć je muszą. Inni o ile pojmować będą swój interes dobrze, usiłowania Polaków poprą i do wytworzonego państwa się przyłączą, nie mogąc marzyć o własnej organizacyi państwowej. Ale należy również pamiętać, że cele ich i nasze identycznymi nie są, nie należy zamykać oczu na istniejące separatyzmy i z niemi się rachować — inaczej uprawialibyśmy politykę kuropatw, chowających łepki dla uchronienia się od strzału.

Ani Rusini, ani Litwini dla nas pracować nie będą; jeżeli się do państwa naszego przyłączą, to wówczas, gdy im pokażemy, że lepiej na tem wyjdą, niż na łączności z Rosyą.

Rachuby na tradycye państwowe polskie Rusinów i Litwinów są oparte na tym samym optymiźmie, który naszym rewolucyonistom każe rachować na „postępową“ część Europy, a naszym uczciwym ugodowcom wierzyć w dobre chęci dla nas rządów zaborczych.

Czyżby w publicystyce kierunku narodowego jeszcze nazbyt rzadko poruszano zdanie podstawowe narodowego egoizmu: „pracujmy dla nas samych i polegajmy też tylko na nas samych?“

Równie trudno wyjaśnić twierdzenie autora, iż nacyonaliści rezygnują z całego ludu litewskiego i gotowi się zrzec wszystkich ziem, zamieszkałych przez Rusinów. Nawet gdyby nacyonaliści polscy żywili tylko brutalne zaborcze instynkty względem tych narodowości, jak to chce zasuggestyonować szerszemu ogółowi Sęp, czyniąc iście braterską przysługę ruchowi narodowemu, — to i wówczas nie mieli-by powodu zrzekać się ich: owszem wszelkiemi siłami powinni-by ich zatrzymać pod swym wpływem. Skąd

powstał w głowie Sępa pomysł epitetu „wstrzemięźliwców narodowych“ — zrozumieć niepodobna.

Dziwną u niego jest niewrażliwość na idee, jakie do naszych pojęć politycznych i do praktycznej pracy nad odbudowaniem państwa wniósł kierunek narodowy, tem dziwniejszą, że sam uważa się za zwolennika tego kierunku, jak to można sądzić z licznych o tem wzmianek, a zwłaszcza z końcowego ustępu.

Zdaje się, że obcą pozostała mu ta prawda, że aby państwo polskie mogło istnieć po odbudowaniu, muszą Polacy być w jak najszerszych masach narodowo uświadomieni, politycznie wyrobieni, posiadać poczucie obywatelskie i t. d. A jednak wszak na niej wspiera się jeden z głównych celów stronnictwa. Cel ten mu przypomnę, cytując odnośny punkt programu: „Dzisiejszy stan i położenie naszego narodu nie przedstawia warunków zbrojnej lub dyplomatycznej akcyi na rzecz niepodległości, ani nawet bezpośredniego takiej akcyi przygotowania. Wobec tego stronnictwo demokratyczno-narodowe bierze za punkt wyjścia swej działalności istniejące stosunki i układ prawno-państwowy i stawia sobie za cel zdobycie w każdem z trzech zaborów stanowiska, zapewniającego żywiołowi polskiemu możliwie najwyższą samodzielność narodową, odpowiadającą jego przyrodzonej i historycznej odrębności, jak najszerszy rozwój sił narodowych i wszechstronny postęp ekonomiczny, cywilizacyjny i polityczny, a tem samem zbliżającego go do osiągnięcia w przyszłości niepodległego bytu.“

Sęp po dawnemu na wzór patyotów z przed 48-go roku widzi jeden jedyny cel: walkę orężną o niepodległość. Niepodoba mu się staranie patryotów nowoczesnych „o uczciwe narodowe zyski“ i stopniowe odbudowywanie państwa, obawia się, czy ta systematyczna i mozolna praca nie „sprowadziłaby odsunięcia celu najwyższego uświęconego krwią trzech pokoleń, w dal nieokreśloną“ — na podobieństwo doskonałości chrześciańskiej, „od której się otwarcie nie odrzeka, która jednak dzięki wymaganiom powszechnego życia pozostaje wiecznie w obrębie pobożnych życzeń“, posuwa się tak daleko, iż dążność do stopniowego zdobywania praw i samodzielności nazywa „odstąpieniem od starych irredentystycznych zasad“.

Z tych słów wnosząc, zdawać by się mogło, że Sęp nie uznaje znaczenia całej niezmiernie trudnej pracy uświadamiania i oświecania ludu w Królestwie, bo nie prowadzi ona bezpośrednio do wybuchu powstania, że lekceważy sobie doniosłość walki

z Niemcami w zaborze pruskim. zawziętej, acz obracającej się około poziomych codziennych interesów, bo walka ta nie ma na celu bezpośrednio wskrzeszenia Polski, że mu nie jest sympatyczną kulturno-oświatowa praca nad ludem w Galicyi, że wogóle nie pochwala dążności do zmobilizowania w polityce narodowej wszystkich warstw, wyzyskania wszystkich sił w narodzie tkwiących, o ile nie ma to być przygotowaniem do walki zbrojnej o niepodległość.

Ale tak źle chyba nie jest.

Autor widocznie porównanie nowoczesnych patryotów z dawnymi bierze czysto uczuciowo. Widzi cały bezmiar poświęcenia i ofiarności ze strony dawnych przedstawicieli naszej irredenty i ten go napełnia czcią dla nich, uwielbieniem. Nie zwraca uwagi na bezpłodność tamtych wysiłków. Nie pojął jeszcze jak dalece pod tym względem nowoczesny patryotyzm, okiełznawszy uczucie, wolą i rozumem i rozszerzywszy działalność swą polityczno - narodową poza akcyę spiskowo-powstańczą do systematycznej i długiej pracy nad odrodzeniem politycznem narodu, nad uświadomieniem narodowem ludu, — jak dalece ten nowoczesny patryotyzm swą produkcyjnością przewyższa dawny.

Obecnie nikt z obeznanych ze sprawami polityki narodowej się nie zawaha, komu oddać pierwszeństwo, czy parodyującym wzniosłe hasła dawnych patryotów czczym deklamatorom o zdobywaniu kijami karabinów, a karabinami armat, czy istotnym spadkobiercom przewodniego celu naszej irredenty, realnym pracownikom na polu politycznego odrodzenia narodu!

Sądzę, że i Sęp się nie waha za kim iść. Błąd jego polega raczej na tem, że nie dostrzega ścisłego związku między temi teoryami, które zwalcza u Dmowskiego i polskich nacyonalistów wogóle, a praktyką polityczną kierunku narodowego. Właściwie rzecz się ma tak, iż te hasła i te wielkie idee, które nowoczesny patryotyzm porusza zostały najprzód w praktyce zastosowane, zanim je podano, jako całokształt pojęć narodowej polityki, — powiększa to ich wartość stokrotnie i czyni je niezwalczonemi: idee te przeszły próbny ogień życia i ostały się bez szwanku.

Gdyby Sęp był się zastanowił głębiej nad treścią zwalczanych przez siebie idei i pojął ten ich związek z żywym, nie papierowym prądem odrodzenia narodowego. uniknął by może kilku niesmacznych insynuacyi pod adresem Dmowskiego, Studnickiego i wogóle nacyonalizmu polskiego, insynuacyi zapożyczonych żywcem

z pism znanej koalicyi prasowej przeciw partyi demokratyczno-narodowej.

Nie znaleźlibyśmy wówczas w jego artykule ubliżającego zdania o Dmowskim, że „już zawczasu rozgrzeszył się z obowiązku uzależniania zabiegów politycznych od sprawy niepodległości“, że jego rozumowanie prowadzi do „odsunięcia dążeń państwowych na plan dalszy na korzyść powszednich politycznych zabiegów, choćby one szły na wspak tamtym aspiracyom najwyższym.“

Nie napisałby wówczas, że nacyonaliści zajmują się „śledzeniem wrogów wewnętrznych“, że oni „sprowokowali syonizm“, że „dla naszych nacyonalistów drobne, ale rzetelne interesy plemienne (Jakto: więc polski naród — to plemię tylko?) znaczą więcej, niż owe potrzeby państwowe.“

Nie skompromitowałby się śmiesznym zarzutem, jaki stawia nacyonalizmowi, że „uniemożliwia zasłużone odosobnienie wstrzemięźliwców narodowych i politycznych tchórzów.“

Zarzutu tego chyba sam autor na seryo nie bierze, bo o parę wierszy wyżej stawia zarzut wprost przeciwny: wyrzuca nacyonalistom stworzenie przezwisk półpolaków, ćwierćpolaków, które właśnie nadawano „wstrzemieźliwcom narodowym i politycznym tchórzom“.

Zresztą sprzeczności w artykule jest więcej, a wynikają one z konfliktu między zdrowemi narodowemi instynktami autora, a doktrynerskim sposobem rozpatrywania wszystkiego z punktu widzenia nieistniejącego państwa polskiego, czyli, co na jedno wyjdzie z punktu widzenia..... widzi mi się, bo pod ideę takiego fikcyjnego nienarodowego państwa da się wszystko podciągnąć z równem prawdopodobieństwem.

Tego co autor pisze o osobistych poglądach Dmowskiego roztrząsać nie będę, gdyż są to kwestye mniejszej wagi; przytem zwłaszcza co do historyozoficznych poglądów na naszą przeszłość i na charakter narodowy, sam nie zawsze się zgadza z autorem M y ś l i n o w o c z e s n e g o P o l a k a.

Zasadnicza koncepcya artykułu Sępa polegająca na przeciwstawieniu dwóch nierozerwalnych idei nacyonalizmu polskiego i państwowości polskiej jest tak dziwną i nienaturalną, że nie może trafić do przekonania ludziom szczerze czującym i logicznie myślącym, czego dowodem sam autor miejscami wpadający w sprzeczność.

Wszak druga z tych idei wypływa z pierwszej: bez niej pomyśleć, nie tylko uzasadnić się nie da!

Kończę trawestacyą ostatniego zdania Sępa: kto ukochał naród nadewszystko, powinien, nie wstydząc się nazwy nacyonalisty, dążyć do zapewnienia narodowi warunków normalnego rozwoju przez wytworzenie państwa polskiego!

Stefan Doński.

Jeszcze jedno przypomnienie.

Głos w sprawie litewskiej.

Stosunki polsko-litewskie datują się od wieków dawnych; niegdyś zaważyły one potężnie na losach cywilizowanego świata. Mają więc doniosłość historyczną. Ztąd też każdy sąd w tej sprawie musi być kontrolowany ze stanowiska owej doniosłości dziejowej. Czy stosunki dwu takich narodów mogą się po upływie wieków zmienić o tyle żeby zeszły do wartości spraw wewnętrznych zaborczego państwa, do stanowiska waśni dwu plemion? Oto są pytania postawione przez wypadki, na które patrzymy, lecz nie możemy niestety ich widzieć.

Ośmielę się tu przypomnieć pewną książkę tak mało znaną a tak ciekawą: Juliana Klaczki: Anneksya w dawnej Polsce (Une annexion d'autre fois) napisaną w 1869 r. a wydaną w tłómaczeniu polskiem w r. 1901 w Krakowie.

Książkę tę napisano z przyczyn zgoła dalekich sprawie litewskiej: napisano ją jako żywe świadectwo momentu dziejowego jedynego niemal w dziejach, jako przykład polityki biegunowo różnej od polityki Bismarcka. Mowa tam o unii horodelskiej i lubelskiej. Sprawę tę przypominam dlatego, że wydaje mi się ona kluczem do wszelkiego rozstrzygania w sprawie litewskiej. Podejmując stanowisko twórców owej unii, jako stanowisko nas ciągle obowiązujące, sądzę, że możemy powtórzyć słowa dokumentu horodelskiego: „Przyrzekamy uroczyście, słowem czci i przysięgą nie opuszczać ich w żadnej przeciwności lub niebezpieczeństwie, lecz pomagać w każdej okoliczności radą i czynem, wspierać przeciw wszelkiemu wrogiemu wobec nich przedsięwzięciu. Co też i przezacni panowie, mieszkańcy ziem litewskich, pod przysięgą

i słowem obowiązali się czynić dla nas wzajem.“ Widzimy więc, że jest to ślub polityczny. Zapytać by się można, czy śluby te nie zostały przedawnione lub zerwane. Na to cały bieg historyi od owego 1413 roku do dzisiaj do 1904 r. odpowie stanowczo: nie.

Książkę Juliana Klaczki wspominałem właśnie dlatego, że wyjaśnia ona sprawę ze stanowiska historycznego najzupełniej twierdząco, że szczerość nie może być podejrzewaną, bo była ona pisaną, zanim jeszcze sprawa litewska stała się piekącą i poddaną licznym wątpliwościom ze strony litewskiej.

Czytelnikom gorąco polecam poznanie tej krótkiej a pouczającej książki.

Powróćmy do dnia dzisiejszego. Istotnie, stosunki polsko-litewskie na granicy etnograficznej narodów i na terytoryum Wielkiego Księstwa ulegają szybkim zmianom. Rozwój historyczny i zasada jedności obu narodów uświęcona przez cały ciąg dziejów w czasie niespełna pięciu wieków wymagają starannej i szczegółowej rewizyi tej sprawy przez opinię obu połów Rzplitej. Sprawa ta niema jednakowej wagi dla obu narodów stanowiących rdzeń Rzplitej. Dla narodu polskiego jest to sprawa doniosłości politycznej, ale dla narodu litewskiego jest to sprawa doniosłości większej jeszcze: dotyka ona wszystkich dziedzin życia narodowego, ba! nawet życia rodzin i jednostek.

Wypada przecież przyznać, że w czasach ostatnich o sprawie tej w Polsce było dosyć głucho. Korona zajętą była prawie wyłącznie sprawą utrzymania bytu narodowego, myśli i języka. Z drugiej strony na Litwie w tym czasie nie działo się nic takiego, coby się natrętnie rzucało w oczy walczącego i przygnębionego społeczeństwa. Jednakże zachodziły tam zmiany głębokie, chociaż niewidoczne. Dopiero w ostatnich latach w Koronie odżyła myśl polityczna: zaczęła się rewizya przeróżnych spraw narodowych. Przyszła kolej na Litwę: spostrzeżono tam przecie nowe prądy, groźne i niepożądane: prądy separatystyczne i wrogie tradycyi Unii. — Niema wątpliwości, że prądy te aczkolwiek płyną ze źródeł szczerego patryotyzmu litewskiego, mają bardzo nieszczęśliwe zarodki złego: są szkodliwe przez wprowadzanie zamętu i nienawiści do mas ludności litewskiej i tak politycznie chwiejnej; osłabiają one odporność wobec rządu najezdniczego, ułatwiają szerzenie się idei „wprowadzenia Litwy do środka państwa“, — co w języku państwowym brzmi: „wozsojedinienie“

— ponowne przyłączenie ziem litewskich. Nie należy też zapomnieć, że o wprowadzenie waśni polsko-litewskiej starał się rząd nader usilnie. — Gdyby wojna obecna skończyła się rzeczywistem osłabieniem Rosyi, — rząd niezawodnie postarałby się zabezpieczyć przed wzrostem ruchów wolnościowych w ten sposób, że usiłowałby jeszcze bardziej rozdmuchać sprawę zupełnej politycznej odrębności obu połów Rzplitej. Ten spór, obecnie mający jeszcze małą doniosłość polityczną, mógłby w takim razie sparaliżować działalność obu narodów.

Korona stoi na stanowisku historycznem i sądzi, że i Litwa by je podjąć powinna. Jednak chociaż niesympatycznemi nam się wydają owe prądy, dążące do zerwania tych tak owocnych węzłów, przecież nie chcielibyśmy z nimi walki w imię wspólnego dobra.

Młodzieży litewskiej należy pozostawić wybór dróg rozwoju dla przyszłych pokoleń narodu, ale winna ona wraz z obecnymi kierownikami opinii litewskiej głęboko się nad tem namyślić, co jest dla Litwy zbawienniejszem: czy dzielić z Polską przeszłość tylko, czy też i w teraźniejszości zachować zawartą z nią Unię. Dla nas bezsprzecznie zawsze będzie pożądanym przyrost sił narodu litewskiego, bez względu na to jakie w tej sprawie zajmie stanowisko; zawsze żywo odczuwać będziemy zawarte braterstwo i pewnem to jest, że nie od nas wyjdzie kiedykolwiek hasło zwalczania ruchów narodowych litewskich. Ale też wymagamy zwłaszcza od rówieśników naszych litewskich głębokiego zastanowienia, by zaś nam i sobie próżnej szkody nie przyczynili.

Chcielibyśmy też bardzo aby się i oni wypowiedzieli.

Sprawa sama posiada dwie strony równie ważne: polityczną i kulturalną. — W politycznej chodzi o utrzymanie tradycyi Rzplitej lub odnalezienie nowych dróg, w kulturalnej o dalszy nowoczesny rozwój Litwy i o prawo przynależności do narodu tej części ludności, która używa języka polskiego nie zaś litewskiego.

W literaturze politycznej polskiej nie posiadamy co do pierwszego żadnych drukowanych źródeł ani wypowiedzeń; dla opinii polskiej sprawa ta była przesądzoną i nie podlegającą wątpieniu, — to też nikt się o to nie troszczył. Dopiero w ostatnich czasach programy stronnictw rewolucyjnych i narodowych podjęły tę sprawę, lecz ani jej niewyczerpały, ani nie spowodowały żywszego zajęcia się rzeczą. Programy rozstrzygały przeważnie sprawę stosunków kulturalnych. — Tymczasem w opinii litewskiej pod

wpływem młodych prądów sprawę tę rozstrzygnięto szybko i radykalnie w sposób bynajmniej nie zadowalniający Polaków. Jakie były przesłanki tej decyzyi litewskiej, trudno dziś orzec w obec niemal zupełnego braku znajomości języka litewskiego, a ztąd niemożności korzystania ze źródeł litewskich. — Załatwiwszy się ze sprawą polityczną w ten sposób, że odrzucono całkowicie tradycye Unii Lubelskiej, „młodzi“ litwini chcieli krótko załatwić się i z drugą sprawą stosunków kulturalnych. — W czasopiśmie narodowo-umiarkowanem *Żynicze* wydano „Głos Litwinów do magnatów, obywateli i szlachty na Litwie“, — w którym zażądano od nich porzucenia języka i kultury polskiej oraz najściślejszego połączenia się z narodem litewskim. Głos nadmieniał, że tylko ludzie mówiący i czujący po litewsku mają prawa do przynależności do narodu i moralne prawo do rozporządzania losami ziemi litewwskiej, — ci zaś, którzy mówią po polsku i opierają się na tradycyi Rzplitej, nie są Litwinami. — Głos wywołał w adresatach wielkie wzburzenie, którego owocem było wydanie odpowiedzi pod napisem: Przenigdy! Odpowiedź była ostra i gwałtowna, odrzucała propozycyę zmiany języka i wykazywała, że ziemianie mówiący po polsku są równie dobrymi synami Litwy jak i lud mówiący po litewsku, że mają równe prawa i obowiązki i że o losach Litwy mają prawo stanowić razem z ludem.

„Głos“ i „Przenigdy“ narobiły wiele rozgłosu na Litwie i spowodowały zjawienie się dwu broszur p. t. Futurus: „O prawdę i zgodę“ [1]) oraz Ro...Munt „Nowe hasła w sprawie odrodzenia narodowości litewskiej [2])“.

Broszura pana Futurusa ma motto: Miłością i zgodą, o bracia rodzeni! — Stawia twierdzenie, że naród litewski jest dwujęzycznym i że łączność jego z narodem polskim płynie nie tylko z tradycyi historycznej lecz również i z jedności kulturalnej i łączności interesów politycznych. Z tego wysnuwa program: „w kwestyi mowy rodzinnej — wolny wybór, w sprawach politycznych i społecznych jedność, we wszystkich stosunkach miłość.“ Odnośnie do Polski zrywa z nią wspólność narodową, oświadczając, że ludność na Litwie cała jest „gente lithuani, natione — lithuani.“

W ogóle jednak p. Futurus nie posiada zdolności rozstrzygnięcia zawiłych spraw politycznych. Kieruje się wyłącznie uczu-

[1]) Lwów 1904. [2]) Lwów 1904.

ciem, i to nawet uczuciem wygody, nie zapuszcza się zaś w rozstrzyganie rzeczowe.

W broszurze p. Ro - munta znać większe oczytanie polityczne i skłonność do rozumowania rzeczowego. Broszura podaje historyę rozwoju nowych ruchów litewskich w krótkiem określeniu; są to proste bezpośrednie wyniki oświaty ludowej, która dotarła z różnych źródeł. Ruchy te poczytuje pan Ro - munt za „dobrą sprawę“ — i przeto twierdzi, że należy z nimi być w dobrej zgodzie. Z prostodusznym oportunizmem stwierdza, że „polskość była zbawieniem Litwy od wynarodowienia na korzyść Białej Rusi, dziś zaś jedynie oświata w rodzinnym ręzyku może ludowi dać potrzebny hart i odporność wobec fali rosyjskiej.“ Sądzi więc, że dążenia litewskie w tym kierunku należy poprzeć możliwie gorąco. Przedsiębierze też rozstrzygnięcie dwu pytań zasadniczych: stosunku Litwy do Polski i stosunku Litwinów dwujęzycznych do siebie. — Pierwsze pytanie rozstrzyga kategorycznem zdaniem: Litwa ma tylko jednego sojusznika a tym jest Polska, ponieważ łączy ją wspólność kultury i tradycyi, wspólny wróg, Rosya — natomiast Polska nigdzie granicom etnograficznym litewskim niezagraża. Co do drugiego zapytania pan Romunt stwierdza, że fałszywą jest odpowiedź autorów Głosu i fałszywą odpowiedź *Przeglądu Wszechpolskiego*; — program postępowania Litwinów po polsku mówiących nie może być dzisiaj wykończonym ani jednolitym: to tylko jest pewnem, że winni oni również pracować nad odrodzeniem politycznem i kulturalnem Litwy i zacieśniać równocześnie węzły łączące ją z Polską. Winni oni znać język litewski, — jakim zaś ma być jezyk domowy ich rodzin o tem niech rozstrzygnie przyszłość. Ostatecznie zaś stwierdza, że porozumienie Litwinów obujęzycznych nie jest bynajmniej wykluczonem, lecz wymaga poprzedniej publicznej dyskusyi.

Takie jest stanowisko obywateli litewskich w tej sprawie czysto litewskiej: są oni obywatelami Litwy — połowy Rzplitej. Sądzę, że i nasze — t. j. koroniarzy stanowisko nie będzie wrogiem ani podejrzliwem. Redakcya *Tėki* w poprzednim numerze, dając sprawozdanie z „Drauga“, wyraziła się w sprawie litewskiej bardzo sympatycznie, życząc pismu rozwoju „dla sprawy odrodzenia prawdziwie bratniego nam narodu i na pożytek wspólnych ideałów obydwu połów Rzplitej.“

Ale wielka miłość dwu nieznających indywidualności nie za-

pewnia niczego realnego — więc kochajmy się, ale nadewszystko — poznajmy się. *Koroniarz.*

„Noc listopadowa“ Stanisława Wyspiańskiego.

Tworząc Lelewela i Warszawiankę okazał Wyspiański, jak silnie jego serce przylgnęło do roku 1831, tej daremnej manifestacyi narodowej. Zahypnotyzowany może zrazu odstraszającem rozpłynięciem się tych czynów we fale daremnego wysiłku, ratował Wyspiański przynajmniej epizody, fakty, którymi się jego dusza tak przejąć mogła, aby je uznać za godne uwypuklenia siłą genialnego talentu. Ale upoiwszy się raz postaciami, jak Lelewel, Chłopicki, nie mógł poeta oprzeć się rozpierającej pierś tęsknocie ku zatopieniu podziwiającego oka w coraz to nowych zdarzeniach owych pamiętnych dni, nie mógł oprzeć się pokusie nadania tym porywającym czynom swej własnej tragicznej interpretacyi. Dostrzegł więc poeta tyle rozdarcia dusz ludzkich, tyle bolu a zarazem tyle gwiaździstych promieni, że nabrał głębokiego przekonania, iż z powstania listopadowego nie trzeba ratować poszczególnego jeno epizodu, ale że tam każdy niemal wypadek ważniejszy był brzemienny w pierwiastki tragiczne. Nietylko tedy w duszach tych ludzi, których onej nocy pasowano na rycerzy, rycerzy, których pasowano na nieśmiertelnych działy się wielkie rzeczy, ale i tłum uliczny stał się łupem rozszalałych elementów i jemu serce ściągało się w przerażonym skurczu, kiedy oszukany przez spodlone indywidua, spostrzegł, że mordował ludzi zacnych i niewinnych. Tak samo dopatruje się Wyspiański kiełkujących walk psychicznych u Joanny Grodzińskiej, gdy ją nęka stosunek Wielkiego Księcia do powstańców — u Wielkiego Księcia, którego mimo że jest człowiekiem pełnym sprzeczności, unoszą wielkie myśli o koronie polskiej a nawet carskiej, którego fatalnie dotyka zarzut Joanny, że jest carskim szpiegiem wobec własnej żony — u Lelewela, który tej nocy nie może być czynny bo go przykuł do izby ostatni dech konającego ojca, — u Czartoryskiego z powodu korony polskiej, — u Potockiego z powodu dumy rodowej...

Ale ponad wszystkimi krąży raniony sęp Chłopicki. Opowiadają, że go pamiętnej nocy znaleziono w jakimś teatrzyku, i że

dowiedziawszy się o wybuchu rewolucyi, nie mógł się zrazu z tą myślą pogodzić a nawet za szpadę chwycił.

I tu podziwiać należy z jak wielką śmiałością i sztuką mistrz Stanisław ten fakt wyidealizował i po swojemu wytłumaczył.

Oto się wprawdzie przedstawienie odbyło, ale jaka tragedya...

Widz ma przed sobą scenę teatru Stanisława Augusta, poza którą znowuż siedzi publiczność historyczna. Na scenie grają Fausta, Publiczność go wprawdzie słucha ale nie słyszy, patrzy ale nie widzi, komedya się nie klei. Ten moment psychiczny, w którym myśl jakaś ubezwładnia siłę i koloryt odbieranych wrażeń, przeciska się wszędzie przez chwilowe stany świadomości jak chochlik, jak dyabełek-psotnik, uscenizował Wyspiański bajecznie, bo greckie satyry przełamują co chwila linię, którą zakreśla Faust, wyłażą z za kulis i wypowiadają rzeczy, przypadające w starożytnej tragedyi chórowi, rozmaite zdania, opinje o akcyi, ale nie o Fauście, lecz o tej akcyi wewnętrznej, która się rozegrywa w umysłach publiczności. Te satyry, to właśnie publiczność sama, te zdania i opinje, to nastrój narodu przed trzydziestym pierwszym rokiem, więc satyry na Wielkiego księcia, pokpiwanie z aspiracyi ugodowych i t. p.

Chór i publiczność jako jedna całość duchowa! Jakby tu się Nietsche radował patrząc na feniksowe odrodzenie tej zasady, którą on wyszukał podczas swych badań nad greckim dramatem!

Powoli publiczność zaczyna zwracać uwagę na Chłopickiego. Na scenie powodują satyry to zwrócenie uwagi na napoleońskiego generała przez to, że go w parterze odwiedzają, krząkają poza jego plecyma, a w rzeczywistości, psychologicznie myśli narodu o ówczesnych stosunkach zwracają się ku człowiekowi, który ma sławę wojenną za sobą.

I tą metodą jest robiony każdy szczegół u Wyspiańskiego. U niego niema mowy o czczych wizyach malarskich, o pustych kawałach dekoratywnych, jak to mu niektórzy we formie fałszywego komplementu zarzucać usiłowali, u niego ruch wszczęty na widowni staje się (podobnie jak u Żeromskiego pozornie objektywny krajobraz) wyrazem stanów psychicznych. Będzie to chyba najwyższem spełnieniem jednego z najkardynalniejszych warunków stawianych każdej sztuce teatralnej: jak najwięcej ruchu, ale nie zewnętrznie skleconego, lecz z wewnątrz uzewnętrznionego, ruchu, który jest rywalem boskiego słowa! Jeżeli zważymy, że ten ruch

u takiego artysty jak Wyspiański zawsze musi występować w samodzielnej malarsko-pięknej szacie, liczba, jaką-byśmy chcieli oznaczyć cenność Nocy listopadowej, zbliży się do nieskończonej...

W teatrze Stanisława Augusta nastrój wzrasta ciągle. Przeklęte satyry co chwila załamują linię toczącego się przedstawienia, aktorzy tracą głowę, aż w tem nareszcie zjawia się Pallas Atene i wkraczają powstańcy. Cel ostateczny, najwyższe marzenia i pragnienia wszystkich obecnych skupiają się w jednym człowieku — w Chłopickim. A jego otula w swe skrzydła bogini jego dawnych zwycięstw, Nike Napoleonidów. Czy on może pójść z tamtymi? Tamci mają zapał i to im wystarcza, ale on jest wódz, wielki strategik; nie tak łatwą mu będzie decyzya. Polaków ogarnia impet wojenny, opuszczają teatr, rewolucya wre na ulicy. Chłopicki pozostaje sam w pustym teatrze z boginią napoleońskich zwycięstw. Pójść? Nie pójść?! Z jednej strony ogromna miłość do ojczyzny a z drugiej rozum wielkiego strategika. Im bardziej się wzmaga przekonywująca siła rozumu, tem gwałtowniej wybucha miłość patryotyczna! Straszna walka gigantycznych sił. Więc Polak Chłopicki we walce z Nike Napoleonidów stawia wszystko na jedną kartę i Nike zasiada do gry.

Demon rzuca kartę a Chłopicki przegrywa! Przegrywa raz i drugi, przegrywa sprawę trzecią i czwartą, fatalne szczęście: Chłopicki przewiduje, że przegra, a jednak miłość do ojczyzny, wolność..... Chłopicki pada omdlały.....

Scena, jakiej od czasów Mickiewiczowskiej improwizacyi nikt nie napisał. Ta rozterka straszna między wyolbrzymiałą chęcią zrobienia czegoś, a jasnem zdawaniem sobie sprawy, że to niemożliwe, kończyć się może tylko zanegowaniem życia; więc Chłopicki mdleje. Mdleje ale nie umiera, gdyż później przecież wola zwyciężyła.

Gdy więc Wyspiański te poszczególne elementy gorąco umiłował, miał w swoich rękach zanalizowaną niejako Noc listopadową, widział, jak tam każdy szczegół, każdy fragment był czynem niepospolitym. A całość miałażby w swym ostatecznym wyniku tylko płacz gorący i żal zostawić w spuściźnie?

Zaiste, zachwycającem jest patrzeć jak Wyspiański po tylu arcydziełach przeżywa nową zupełnie ewolucyę po takiem „Weselu“, które zdawało się być najwspanialszym momentem żniw. Ewolucyę co do formy, bo w treści walki duchowe tego poety łączą się zawsze nierozerwalnie z dziejami narodu, które jako przedmioty jego

bolów psychicznych, wstrząsają nim do tego stopnia, że życie narodu staje się życiem twórcy.

Po przeczytaniu „Achilleis" trudno sobie było wyobrazić poco Wyspiański tę rzecz napisał. Tymczasem pokazuje się, że to była próba uruchomienia postaci greckich dla zobaczenia, jak będą wyglądały, szkic, studyum. W „Akropolis" przez pierwsze dwa akty, a zwłaszcza drugi, znać już wyższy cel tych studyów: przetkanie narodowego polskiego dramatu motywami greckimi. Powód: poeta czuje, że wiele ze swych myśli będzie mógł wypowiedzieć łatwiej i plastyczniej, a i estetyczne względy go interesują, śmiało nawet można powiedzieć, że to ukochanie świata greckiego jest głównie decydującem, jeżeli zważymy bajeczną łatwość, z jaką poeta scenicznie wyraża się w innych dramatach bez wszelkiej mitologii. Tak jak ktoś posiadający dwóch dobrych przyjaciół chce ich koniecznie ze sobą zaznajomić, tak Wyspiański mając czyny swego rycerskiego narodu z jednej a wspaniałe bohaterstwa i mitologię Greków z drugiej strony, pragnie te dwa elementy zlać w jedną zharmonizowaną całość. Tembardziej, że jedne i drugie postacie już przedtem w ruch wprowadzał z szaloną łatwością.

Więc w Nocy listopadowej zstąpiła z Olimpu Pallas Atene i rozgrzewała podchorążych do boju. Wszystko co wtedy zrobiono według sztuki wojennej, co było strategicznie mądre a dzielne to dzieło Pollady. Ale wiemy, że działy się tam rzeczy niekoniecznie o zimnej rozwadze świadczące. Jakto? powie Wyspiański — czyż nie słyszeliście co to szał bojowy? Ta namiętność, która ludźmi tak okropnie włada, że siebie poznać nie mogą, ta siła przecież tak olbrzymicje, że wyskakuje poprostu z dusznej piersi poszczególnego indywiduum, staje się wodzem, działa i zapala do dzikiej walki bez namysłu. Wiedzieli dobrze o tem Grecy i czcili swego srogiego Aresa. To też i Wyspiański widział go wtedy na ulicach Warszawy.....

Dawszy jeszcze innym czarującym poetę wypadkom mitologiczne wytłumaczenie, dochodzi autor do syntezy, do zharmonizowania swego dzieła.

Wszystko stało się w jesieni w smutnej porze umierania. Nietylko przyroda zatraca przepyszne linje pełnych kształtów swego lata, ale i w człowieka, w duszę ludzką wkradają się wspomnienia o wszystkiem co stracone. Czcimy w jesieni pamięć wszystkich zmarłych, z którymi nas łączyły dnie minionego życia, ale i Grecy znali ten smutek jesienny, znane im były skargi Cerery,

którą córka w jesieni opuszczała, odchodząc w ponure rozpaczne podziemie. Takim skarbem który naród polski opuścił było powstanie listopadowe. Odeszło w podziemię jak córka Cerery. Ale o niej rozchodzi się mit, że wraca na wiosnę, że w podziemiu każde ziarno nabiera siły, wciąga w siebie soki żywotne, które wytrysną do nowego życia. Tak też w udramatyzowanym micie narodowym powstanie listopadowe. Nie mając bytu państwowego ukrywa je naród polski w swojem życiu podziemnem, tam ono dalej rozwijać się musi aż z pierwszym błyskiem wiośnianej wolności wybuchnie.

Oto słowa ze świata greckiego:

Kora mówi:

Z Plutusem święcę gody,
a oto teraz idę zwiedzać spichrze.
Oto część mej urody
straciłam na jesiennym wichrze
i na jesiennym chłodzie;
fala niesie powodzie
moje złote kosztowne listowie.
Lecz cyt, ... cicho, — tam groby,
tam pod ziemią spichlerze,
tam idę . . . . . .
Podajcie złote klucze.
Zamykam niemi serca,
Zamykam niemi dusze.
Oto wieki ożywię idące.
Wieki i lata, co przyjdą,
Żyć będą ziaren tych treścią.
Ziemia rodzić będzie,
Kędy siew padnie zdrowy.
Ludzi zbudzę, roześlę sędzie
na żywot żywot nowy!
Pokoleniom ostawię czyny,
po ojcach wielkich, — wielkie
[wskrzesne syny,
kiedyś, — będziecie wolni!
Co z tego w was i co marne,
to jako plewy i ziele złe zgarnę;
co chwastu na waszej roli
i co szkodzi wam i co was boli,
to ukoję czasu przebiegiem.
Przejdziecie jeszcze niejedną nę-
[dzę
i niejedną przebolicie próbę.
A jeżeli lichego serca ludzie
w was samych gotują wam zgubę
ja ich powołam, i jak plewo
[zmiotę!
I w ziarnach tu — na dnie —
[przechowam cnotę!
. . . .
......*Krwi przelanej nie zmarnię.*
Krwią pola a rolę ożyźnię
i synów z krwi tej dam — kie-
[dyś ojczyźnie.
. . . .
. . . .
Rządzę gospodarnie
I zapęd i siłę skryję
przechowam lata długie
i kiedyś ich użyję!!
. . . .
. . . .
Kiedyś przyjdzie znowu ten czas,
Gdy Gallas wezwie was
i zwycięski dług wam zapłaci.

A słowa ze świata polskiego:

Waleryan Łukasiński (ślepy w łachmanach w kajdanach na nogach i rękach, wchodzi prowadzony przez straż).

Wytrwania! wytrwania,
o dajże im Boże,
niech siły ich się nie zmarnią.
Bądź srogie więzienie

wieczyste me łoże
i żywot jedyną męczarnią.
Niech wloką, niech wloką,
niech w lochy zakują,
niech sępy źreją me ciało,
by ino tym braciom,
co dzwonią w Warszawie,
Zwycięstwo się walki dostało.
. . . .

O pójdziesz ty kiedyś
mój duchu na gody
za kaźń twą, żywota gorycze,
W tych dzwonach z Warszawy
do ciebie to gońce:
Witaj jutrzenko swobody
Za tobą zbawienia słońce.

Dał nam Wyspiański po rapsodzie „Kazimierz Wielki“ znowu dzieło manifestujące się pozytywnie. Wprawdzie każdy utwór tego poety przekazuje narodowi w treści ostatecznej zawsze coś pozytywnego, sam jednak sposób przedstawienia jest negatywny. Nie podkładamy pod poezyę Wyspiańskiego świadomych celów dydaktycznych, ale jeżeli jest faktem, że przedmiotem na którym się rozwija jego artystyczna psychika, jest życie i losy narodu, jeżeli jest faktem, że on szaty rozdziera („Wesele“) nad tragicznemi cechami i wadami narodu, tedy nie podobna mieć zawiązanych oczu na jego serdeczne czucie narodowe, nie podobna nie widzieć, jak ten, który podejmuje spuściznę Adama Mickiewicza, łączy stale swój czyn dla społeczeństwa z najwyższą emocyą artystyczną.

Idealizując wypadki, które historya podaje w podobnym stopniu w jakim to uczyniły inne narody, (Homer, pieśni o mitycznym Dytrychu von Bern), obejmuje Wyspiański rolę pieśni ludowej, wierzeń narodowych o wielkich czynach, ale o tyle tylko, o ile chodzi o podanie potomności substratu do zachwycania się wielkimi czynami, oraz o metodę niewymuszoną, niewyspekulowaną, lecz przemawiającą gwałtownie do wyobraźni ludzkiej. O ile jednak chodzi o formę artystyczną, stwarza Wyspiański tragedyę, dzieło kultury stojące — (jeśli się można tak wyrazić) wyżej od pieśni ludowej.

Mogłaby też powstać kwestya, że dramat, w którym mieści się x dramatów, nie jest dramatem. Ale taka kwestya umarłaby właściwie przed urodzeniem, bo każde dzieło literackie, które wyraża swą treść jeszcze i ruchem osób, już ma racyę bytu sceniczną i jest dziełem artystycznem, jeżeli tworzy zharmonizowaną całość.

Znać w „Nocy listopadowej“ „wpływy“ Mickiewicza. Ale te podobieństwa są natury abstrakcyjnej, to, czego szlachetny pierwowzór myślowy poeta mógł znaleźć u Adama, dostało u Wyspiańskiego formę tak oryginalną, że pod względem artystycznym, a w wielkiej mierze i literackim zachodzi zupełna samodzielność. (1. Chłopicki a Nike Napoleonidów, Konrad z improwizacyi, a Bóg.

2. Łączenie mitów jesiennych z dziejami narodowymi, córka Cerery, Noc listopadowa, Dziady).

Wyspiański w czynie swoim stoi zdala od modernistycznych przeobrażeń. Głos jego duszy to nie kwilenie chaotycznych psychologów, którym intelektualne spekulacye temperament sparaliżowały, pierś jego szeroka pełna jest męki serdecznej, serce jego płonie wulkanicznym żarem bolu, tym zasadniczym warunkiem wszelkiego dzieła sztuki. Kto tak tęgich sił odżywia w sobie moce, temu przydano nazwę Wielkości...

P. S. Jest w nocy listopadowej jeszcze postać prześlicznie narysowana, na którą poeta również rzucił cudowną projekcyę mitologiczną, mianowicie Joanna Grudzińska. Zastrzegamy sobie z tych i innych jeszcze względów szczegółowe omówienie tej postaci na kiedyindziej. *J. W. Rollauer.*

Walka gospodarcza w zaborze pruskim.

(Ciąg dalszy).

Reszta Polaków, półtora mil., przypada na Prusy król. i Księstwo. I tutaj mamy ogromną różnicę w sile żywiołu polskiego między tą częścią, która odpadła już przy pierwszym rozbiorze, a tą, którą Prusy otrzymały dopiero przy rozbiorze drugim. Prusy król., a nawet i północna część Księstwa o wiele mniej posiadają Polaków i mniej żywotności, aniżeli południowa część Księstwa, czyli obwód rejencyi poznańskiej. Gdybyśmy zapytali o powody, to zdaje się, że mniej wpłynęło na to dwudziestolecie dzielące pierwszy rozbiór od drugiego, acz zręczną bardzo i niezrównanie bystrą była praca germanizacyjna Fryderyka Wielkiego. Wsie, które on założył np. w obrębie rejencyi bydgoskiej, do dziś dnia pozostały czysto niemieckiemi. Ośrodkiem polskości jest więc Księstwo. Posiada ono 28970 m^2 obszaru. Galicya jest prawie trzy razy większa i 1,900.000 ludności, z której na Polaków przypada 1,157.000. W ostatniem dziesięcioleciu ludność polska wzrosła tu z 59.8 prc. na 61.3 prc.

Na Śląsku mamy lud przeważnie robotniczy pracujący w kopalniach; w Prusach królewskich i w Poznańskiem zaś pozostaliśmy tem, czem byliśmy zawsze: społeczeństwem rolniczem. Pod-

czas gdy na wychodźtwie w dziedzinie pracy narodowej zależy nam jedynie o uświadomienie patryotyczne ludu, w Prusiech królewskich i książęcych mamy jeszcze inne hasło dalej idące donioślejsze i bardziej konkretne, a hasłem tem jest walka o ziemię.

W zaborze pruskim bez wątpienia kwestye agrarne posiadają znaczenie większe, niż gdziekolwiek na ziemiach polskich. Niestety rozpaczliwem jest to, że przeważna część ziemi pozostaje w rękach Niemców. Żeby ten dziwny i smutny stosunek zrozumieć, nie wystarczy zwrócić uwagę wielu „zdrajców“, samowolnie pozbywających się ziemi, ale trzeba koniecznie uwzględnić systematyczną od pierwszego rozbioru przez cały wiek XIX. nieustającą dążność rządu pruskiego do wydarcia ziemi z rąk Polaków. Niemcy wcześnie nabrali przekonania, że ziemia będzie ostatecznie decydowała o zwycięstwie jednej lub drugiej narodowości. Nasamprzód więc skonfiskowano wszystkie dobra królewskie, starostwa itd., później dobra klasztorne, biskupie i wszystkie niemal dobra kościelne. Bardzo charakterystycznem jest, w jaki sposób zabierano obszary kościelne: nie brutalnie, lecz w sposób oględny pod pozorem „dobra ogółu“; często okazywało się — powiada odnośna ustawa — że osoby w młodości jedynie w naukach kościelnych ćwiczone ani czasu, ani sposobności nie mają do należytego i użytecznego poznania prowadzenia gospodarstwa“.

Trzeba na to zwrócić uwagę, bo takie postępowanie rządu, pełne hipokryzyi, powtarza się wciąż aż do najnowszych czasów, tj. aż do roku bieżącego, w którym osiągnęło punkt kulminacyjny w nowem prawie o osadnictwie. Obszar w ten sposób zdobyty, obejmujący około 15.000^2 klm. został rozdany między faworytów królewskich, albo też między książęta w zamian za różne ustępstwa. Tak dostał ks. Turn Taxis księstwo krotorzyńskie (23.000 hekt., największą posiadłość w Poznańskiem) za to, że odstąpił rządowi ruch pocztowy, który dotąd dzierżył sam, dalej znamy w podobny sposób nabyte posiadłości książąt: Coburg, Gotha, Weimar, itd.

Drugiem stadyum pracy germanizacyjnej było ustanowienie ziemstw (Landszafty) w r. 1823. Była to instytucya rządowa, która znów pozornie przychodziła w pomoc potrzebującym gotówki właścicielom ziemskim.

Dawano szlachcie na każdorazowe żądanie pożyczki w dowolnej wysokości i popierano w ten sposób karciarstwo, pijaństwo itd. Siali więc nasi panowie pieniądzmi na wszystkie strony, głównie oczywista rzecz po obcych miastach. Wkrótce nadejść musiało prze-

silenie, „krach“, jak to się zwykło mówić, majątki były do tego stopnia obdłużone, że musiały iść za bezcen na sprzedaż. Wtedy rząd postarał się o zamożnych ludzi z zachodu, którzy masami nabywali ziemię polską. Do zwiększenia zakresu klęski przyczynił się w części i ten nieszczęsny przesąd, że nieobywatel ziemski jest człowiekiem gorszego gatunku, wskutek czego ojciec, mając np. trzech synów, a niemogąc kupić nowych majątków dzielił ojcowiznę na trzy części; dochody każdego z synów musiały w ten sposób być mniejsze od ojcowskich, ale wymagania ich jeżeli się nie zwiększyły, to w każdym razie na tym samym pozostawały poziomie. Po niejakim czasie siłą rzeczy tak osłabione działy szły na sprzedaż — w ręce Niemca, bo Polaka mogącego je kupić nie było. Prócz tego z powodu emigracyi do Ameryki, zapanował brak robotnika. Wszystkie te przyczyny spowodowały ogólny upadek ziemiaństwa polskiego w Poznańskiem. Gdy pomimo to jeszcze Polacy częściowo się trzymali, rząd przypuścił trzeci najsilniejszy atak, tworząc w 1886 r. sławną komisyę kolonizacyjną (Ansiedelungs-komission).

Instytucya ta wyposażona pierwotnie dotacyą 100 milionów marek, podniesiona obecnie do 450 milionów, a mogąca w razie potrzeby jeszcze wzrosnąć — instytucya ta może płacić olbrzymie ceny i w ten sposób wykupywać ogromne obszary ziemi tak od Niemców, jak i od Polaków, którzy nawet początkowo utrzymywali, że lepiej jest brać dużo pieniędzy, niż męczyć się na marnym kawałku ziemi. Z drugiej strony kolonizacya z łatwością mogła dostać osadników Niemców, gdyż warunki ofiarowywane im były ogromnie dogodne. Koloniście oddaje się naprzód ziemię ze wszystkimi budynkami i koniecznemi urządzeniami; potem w miejsce płacenia ceny gruntu gotówką, zaprowadzono rentę wieczystą. W ten sposób kolonista nie staje się nigdy hipotecznym właścicielem, ale tylko niejako administratorem, właścicielem zaś jest zawsze „Ansiedlungs-Komission“, która może kolonistę każdego czasu wyrzucić. Podkreślam tu znaczenie renty wieczystej: na tem to polega właśnie, że ziemia sprzedana raz komisyi kolonizacyjnej, już nigdy, póki państwo pruskie nad nami panować będzie nie może wrócić w ręce polskie. W krótkim czasie przyszli i Polacy do świadomości, że ziemia jest głównem ich oparciem i poczęli szukać środka przeciwdziałania zakusom rządu i znaleźli go — rzecz dziwna — w czemś podobnem do komisyi kolonizacyjnej, w stowarzyszeniach ułatwiających polskie osadnictwo, tj. w związkach parcela-

cyjnych. Już w dwa lata po założeniu kolonizacyi w r. 1888 powstał „Bank ziemski“ w Poznaniu. Bank ten jest dla Polaków pod zaborem pruskim tak ważną instytucyą, jaką np. był „Bank Polski Kredytowy“ dla Królestwa; dlatego też nie można go zbyć kilku słowami. Celem Banku jest kupowanie ziemi i parcelowanie jej wyłącznie tylko między Polaków. Nie jest to jednak zwykłe biuro komisowe, pracujące li tylko dla własnego zysku; owszem „Bank ziemski“ jest czysto narodową instytucyą. Widzimy to z jego statutów; i tak dla stanowczego wykluczenia interesowności oraz dla najłatwiejszego i najwydatniejszego przysporzenia koniecznego kapitału obrotowego, postanowili jego założyciele ograniczyć maximum wypłaconej akcyonaryuszom dywidendy do 4 prc., a więc do zwykłej — jeśli nie niższej — stopy procentowej. Kto się cokolwiek choćby zna na sprawach finansowych wie, że kupujący akcye nie czyni tego w celu uzyskania zwykłej stopy procentowej, bo bez wszelkiego ryzyka może to osięgnąć w każdym innym banku, lecz w nadziei otrzymania jakichś 7, 8, lub 10 prc.

Dalej postanowiono resztę zysku powstałą przy jak najoszczędniejszem i jak najracyonalniejszem prowadzeniu parcelacyi, obrócić na powiększanie kapitału obrotowego Banku. Bank stara się przedewszystkiem przyjść z pomocą nabywcom parcel, udzielając im kredytu, tak, że zwykle dopiero po jakich sześćdziesięciu latach uiszczają się w zupełności ze swego długu. Kapitał obrotowy wynosił przy założeniu 1,200.000 marek, w 1899 r. wydał Bank nową emisyę akcyj i dziś kapitał wzrósł do trzech milionów. Nadmienić muszę jeszcze i to, że pieniądze te wpłynęły nietylko z pod zaboru pruskiego, ale także i to w znacznej ilości z Królestwa i Galicyi. Już z tego widać, że Bank ma cechę narodową i to ogólno-narodową. Jeżeli porównamy teraz siły materyalne „Banku ziemskiego“ z funduszami komisyi kolonizacyjnej, zobaczymy, że te trzy skromne miliony zupełnie nikną w 450-milionowym kolosie. Walczyć z wrogiem tak potężnym materyalnie — zadanie nie jest to łatwe, a uwzględnić trzeba jeszcze i to, że w szranki po stronie Niemców prócz kolonizacyi wchodzi i „Landbank“, założony w 1895 r. przez członków „Verein zur Förderung des Deutschtums in den Ostmarken“, czyli hakatystów. Kapitał „Landbanku“ tworzy dziś pokaźną sumkę 10 milionów marek. Już z tego, że „Landbank“ zawdzięcza swą egzystencyę hakatystom, widać jasno, że i on — jak kolonizacya — ma na celu wypchnięcie Polaków

z ich ziemi. „Landbank“, jako instytucya hakatystyczna, kupione dobra sprzedaje albo dalej kolonizacyi, albo też parceluje je na własną rękę, naturalnie także tylko między Niemców, a więc ziemia nabyta przez „Landbank“ jest również dla nas stracona. Polacy widząc, że wróg liczebnie, jak i finansowo coraz się wzmaga, starali się ze swej strony nowe instytucye powołać do życia. W ten sposób powstały liczne spółki ziemskie, „Bank parcelacyjny“, Spółka rolnicza parcelacyjna“ i inne. Wszystkie one jednak, podobnie jak „Landbank“, obok celu narodowego, pracują dla osobistego zysku.

Ważną teraz rzeczą będzie rozpatrzeć dotyczczasowe wyniki owego procesu kolonizacyjnego, względnie parcelacyjnego. Zaznaczyć muszę, że „Kolonizacya“, jak i „Bank“ ograniczają czynność swoją tylko na Księstwo i Prusy królewskie, gdyż na Ślązku stanowią Polacy z małymi wyjątkami lud zupełnie bezrolny. Dopiero w najnowszych czasach ujawniła się u Polaków dążność do zdobycia na Ślązku pewnej części ziemi, co miałoby dla nas naturalnie niezmierną doniosłość, powiększyłoby bowiem szeregi inteligencyi śląskiej. Jak więc wygląda bilans narodowy w Prusiech królewskich. C. d. n.

Listy paryskie.

Zaznaczywszy w pierwszym liście naszym *) stanowisko, z jakiego sądzić zamierzamy stosunki francuskie, stwierdzamy, że nie chodzi nam o wydawanie sądów ryczałtowych, a powierzchownych o „absolutnej“ wartości dzisiejszej Francyi, wskazawszy, że zależy nam przedewszystkiem na uwydatnieniu sprawy stosunku społełeczeństwa francuskiego do spraw, społeczeństwo polskie bezpośrednio obchodzących, zamierzamy przystąpić obecnie do zobrazowania stanu opinii francuskiej względem całokształtu idei i wyobrażeń związanych z pojęciem: Polska.

Nieznajomość krajów obcych jest jedną z cech, przysłowiowo złączonych z zapatrywaniem naszem o Francuzach. Tkwi w tym sądzie istotnie pewna doza słuszności: w samej rzeczy Francuz nawet bardzo wykształcony, tj. posiadający gruntowne wykształcenie

*) Patrz numer marcowy „Teki“.

uniwersyteckie, odznacza się nader często brakiem dokładnych wiadomości o krajach obcych. Zaznaczyć atoli należy, że ignorancya ta dotyczy przedewszystkiem wiadomości geograficznych: w zakresie historyi sprawa o wiele lepiej się przedstawia; w zakresie zaś literatury i sztuki nieznajomość dotyczy jedynie tych krajów, które na tych polach w życiu międzynarodowem udziału nie biorą, a zatem i wśród innych narodów Zachodu pozostały dotyczące nieznanemi. Nie wspominamy o naukach ścisłych, gdyż w tym zakresie stoją Francuzi w chwili obecnej najzupełniej na wysokości wymagań.

Nie będziemy się zastanawiali nad powstaniem i przyczynami braków w wykształceniu geograficzno-historycznem Francuzów; przyczyn tych jest dużo, a w ich liczbie cały szereg najzupełniej uzasadnionych i historycznie nieuniknionych. Ważniejszem jest dla nas stwierdzenie faktu, że ten stan rzeczy od lat kilkunastu ulega stanowczej zmianie. Cały szereg instytucyj prywatnych i państwowych urządza corocznie bezpłatne kursa języków obcych, oraz wykłady z dziedziny historyi i literatury narodów cudzoziemskich, wydaje stypendya na wycieczki zagranicę, urządza podróże wspólne, agituje za pomocą propagandy ustnej i broszurowej za zaznajamianiem się z krajami obcymi i t. p. Potężne stowarzyszenie „Société pour la propagation des langues vivantes“ otrzymujące zasiłek z ministeryum oświaty, pracuje na czele tych instytucyj z zapałem, godnym zachwytu, a przepełnione sale wykładowe na lekcyach języków angielskiego, niemieckiego, włoskiego, hiszpańskiego i innych, najlepiej dowodzą, jak prąd ku zaznajamianiu się ze sprawami zagranicznemi wzmógł się we Francyi. Wymieniliśmy stowarzyszenie powyższe, jako najpoważniejsze, a zarazem dlatego, iż posiada ono kursa języka polskiego, kierowane przez niestrudzonego na polu pracy dla Polski prof. Wacława Gasztowtta. Kursa te — niestety — niezbyt licznie są uczęszczane, gdyż znajomość języka naszego uważaną jest — nie bez słuszności — za zbytek w porównaniu z językami narodów, posiadających na poparcie swej kultury: państwo. Mimoto jednak, kurs prof. Gasztowtta przysparza nam corocznie kilku Francuzów, niezgorzej z mową naszą obeznanych i co nader ważne, głęboko zainteresowanych naszą kulturą i naszym bytem.

Kurs ten jest dzisiaj jedyną placówką, pracującą systematycznie, choć niestety w zbyt skromnym zakresie, nad rozpowszechnieniem wiadomości ścisłych i sumiennych o kraju naszym·

Po za nim nie posiadamy we Francyi żadnej instytucyi, któraby rolę podobną odgrywała. Francuz, pragnący posiąść bliższe wiadomości o Polsce współczesnej, nietylko nie posiada odpowiednich dzieł drukowanych, lecz nawet drogą rozmowy z Polakami w nieznacznej tylko mierze i nader chaotycznemi wiadomościami rozszerzyć może zakres swój wiedzy. Zarzucając Francuzom brak wszechstronności w wykształceniu, zapominamy o tem, iż posiadają oni w zamian tak gruntowną znajomość przeszłości i obecnego położenia swego, jakiej my w stosunku do rzeczy polskich niemal nigdy nie osiągamy. Polak o wykształceniu uniwersyteckiem niezdolny jest dzisiaj dać cudzoziemcom bez osobnego przygotowania więcej ponad garść strzępów informacyjnych wątpliwej wartości. Fakt to niezbity i co gorsza, jak dotąd bynajmniej nie zmierzający ku poprawie, owszem przeciwnie.

Musimy się pogodzić z myślą, że język nasz nie tak jeszcze prędko stanie się w Europie ogólnie znanym. Ażeby chwilę tę możliwie przybliżyć, w każdym zaś razie pamięć o nas utrzymać, dwie tylko pozostają nam drogi:

Ogłaszanie dzieł informacyjnych i propaganda ustna celowo urządzona lub dorywcza. Obie te drogi pozostawiają w chwili obecnej do życzenia w s z y s t k o.

W zakresie publikacyj odbiegliśmy daleko od czasu, gdy emigracya polistopadowa całym szeregiem dzieł wartości pierwszorzędnej szerzyła wiadomości o Polsce. Wydawnictwo p. Antoniego Potockiego, pt. „La Pologne contemporaine“, nie zdoła nam oddać przysług, jakie nam wyświadczyły dzieła dzisiaj przestarzałe, lecz ongi w każdym niemal domu francuskim czytywane pióra Leonarda Chodźki. „La Pologne contemporaine“ nietylko ukazuje się krokiem tak nad wyraz żółwim, że od chwili napisania do chwili ostatecznego ogłoszenia całości z istoty rzeczy pod wielu względami punktacya będzie przestarzała, lecz i ceną swą, treścią i układem stanowi raczej piękną ozdobę biblioteki, aniżeli gruntowne i jednocześnie przystępne źródło informacyjne.

Główną rolę odgrywają dzisiaj przy agitacyi słowem drukowanem artykuły w czasopismach. Ukazuje się ich nawet o sprawach polskich szczególniej w zakresie literatury, dosyć wiele. Cóż jednak społeczeństwu naszemu, a i francuskiemu z nich przybędzie, gdy autorami są tacy „znawcy“ współczesnych prądów krajowych, jak panowie Waliszewscy, Wodzińscy, Rzewuscy, Skarzyńscy et tutti quanti. Jeszcze dziękować przychodzi Bogu, gdy się

ograniczają do „informacyj“ literackich; biada, gdy wkraczać poczynają w dziedzinę stosunków polityczno-społecznych. Wtedy słyszymy np. p. Skarzyńskiego informującego *Figaro* i różne miesięczniki o entuzyaźmie społeczeństwa polskiego względem „kuratoryów trzeźwości“, pana Lwa ogłaszanego w *Européen* o niesłychanym szowiniźmie narodowym socyalistów polskich i t. p. Jedynem źródłem informacyjnem dla Francuzów mógłby być wydawany przez stowarzyszenie byłych uczniów szkoły Batignolskiej miesięcznik pt. *Bulletin Polonais*. Zwraca się on atoli nie do właściwego społeczeństwa francuskiego, a do kolonii „francusko-polskiej“ tj. do potomków dawnej emigracyi; w tym zakresie spełnia on swą rolę nader sumiennie, lecz zmuszony jest stosować treść swych artykułów do charakteru bardzo osobliwego swych czytelników i wydawców. Ztąd nader małe jego rozpowszechnienie i niewielki wpływ.

Jedyne pismo, które od czasu do czasu sumienne podawało o literaturze polskiej kroniki, poważny *Mercure de France* od lat dwóch tj. od czasu wyjazdu z Paryża p. Lorentowicza przestał drukować „listy polskie“ [1]. Na tem zakończyć przychodzi listy naszych wysiłków w zakresie publicystyki systematycznej. [2]) Nadto należy uwzględnić ukazujące się od czasu do czasu tłómaczenia powieści polskich. Jestto obecnie jedyna istotnie produkcyjna działalność nasza względem opinii francuskiej. Szalony rozgłos powieści *Quo vadis* pociągnął za sobą cały szereg innych tłumaczeń niezmiernie przychylnie przez publiczność tutejszą przyjętych. Na czele wydawców dzieł tego typu postawić należy p. Bronisława Kozakiewicza, jako najruchliwszego — lecz niestety, nie znać w jego działalności wyraźnego i stałego celu, którego wykonanie dopiero mogłoby pozostawić głębsze ślady w opinii francuskiej.

O propagandzie ustnej słów kilka już powiedzieliśmy. Nietylko własna nieznajomość stoi na przeszkodzie płodnemu wyzyskaniu sposobności, lecz są i inne przyczyny, a na pierwszem miejscu postawić przychodzi tę często nieświadomą, tak szkodliwą i parafiańską jednostajność i partyjność informatorów. Z jednej strony ugodowcy, z drugiej socyaliści: jedni głoszą nasze zadowolenie z rządów moskiewskich, drudzy zanik zupełny prądów innych, ani-

---

[1]) Serya ich wzmocniona została w ostatnim czerwcowym numerze; sprawozdawcą jest p. M. Mutermilch. Artykul jego jest sumiennie napisany, lecz razi brakiem szerszego widnokręgu syntetycznego.

[2]) Świeżo ukazal się nowy miesięcznik francuski pt. *Essays*. Zapowiada on „listy słowiańskie“ pióra panny J. Sienkiewiczówne]. Zobaczymy.

żeli socyalistyczne, w kraju naszym. Wszak niedawno jeden z socyalistów polskich, w Paryżu zamieszkałych, na zebraniu publicznem francuskiem tak sumiennie przedstawił stan opinii polskiej w czasach obecnych, iż z uzasadnioną ironią jeden z Francuzów zapytał: „Czy między socyalizmem a Polską żadnych niema różnic?“

Setki, a może tysiące rodaków naszych obraca się od lat kildziesięciu pomiędzy Francuzami; zajmują stanowiska najrozmaitsze, od najskromniejszych do najpoważniejszych. A jak spełniają swą rolę informacyjną? Jedni dają strzępy luźne, bo na co innego ich nie stać, drudzy kłamią, bo chcą przy każdej okazyi upiec swą pieczeń partyjną, inni wreszcie, i ci jeszcze najmniej szkodliwi, nie mogą się zdobyć na nic innego, jak małostkowe i płaczliwe, pozbawione podkładu żywotności, przedstawianie naszych nieszczęść.

Cały szereg towarzystw, któreby w tej sprawie dodatnią rolę odegrać mogły pozostaje na tem polu w zupełnej bezczynności. Mam tu na myśli „Związek wychodźtwa polskiego“, „Koło literacko-artystyczne“, „Bibliotekę polską ze stacyą naukową Akademii umiejętności“, „Stowarzyszenie byłych uczniów szkoły Batignolskiej“, oraz stowarzyszenia studenckie. (Chociaż te ostatnie najmniej się do roli wzmiankowanej nadają, mogłyby jednak wśród młodzieży francuskiej pewne znaczenie pozyskać).

Francuskie przysłowie słusznie głosi: „les absents ont toujour tort“. Czyż dziwić się można, że Francuzi współczesne życie Polski mało znają, że często wydają sądy opaczne, gdy ani położenie nasze polityczno-społeczne, ani nasza nauka, ani nasza sztuka, nie zdołały dotychczas znaleźć rozumnych i poważnych tłumaczów. Informujemy dorywczo, a często fałszywie, nie umiemy się zdobyć na sumienne i systematyczne przedstawianie naszych postępów w różnych dziedzinach życia. Dość przypomnieć niefortunną antcepcyę p. Godelewskiego w dziedzinie sztuki (ową wystawę z przed lat kilku, na której kilka dzieł istotnie znakomitych znikało najzupełniej w powodzi marnoty), chybione i wprost kompromitujące swą nieudolnością występy nasze na wystawach wszechświatowych („Halka“ — w Wiedniu, zakopiański styl — w Paryżu), brak zorganizowanego działania przy zjazdach naukowych (medycyny w Madrycie, historyczny w Rzymie i t. d.), zupełne zaniedbanie, w jakiem pozostawiamy pisma fachowe o stanie nauki w kraju naszym (od roku 1878 tj. jest od czasu artykułów pióra Ponińskiego, nikt nie zreferował w *Revue historique* stanu naszego dziejopisarstwa,

a z łatwością dojdziemy do wniosku, że pretensye nasze względem Francyi są conajmniej wygórowane.

Powiemy nawet więcej: dziwić się nieraz przychodzi, ża pomimo tak opłakanego z naszej strony niedbalstwa, tyle jeszcze w szerokich kołach społeczeństwa francuskiego imię nasze posiada żywotności. Twierdzimy bowiem stanowczo i na wykazanie słuszności naszego poglądu postaramy się dać dowody, że Francuz przeciętnie wykształcony, przy ignorancyi w zakresie geografii i historyi przedrozbiorowej Polski, posiada duży zasób wiadomości nieraz zupełnie ścisłych, a zawsze bardzo żywych o dziejach porozbiorozbiorowych i o literaturze naszej z okresu romantycznego. Dodać do tego należy niezaprzeczoną, chociaż dotychczas platoniczną, sympatyę względem naszych ideałów politycznych, dziwnie rozwiniętą zdolność odczuwania charakteru polskiego i jego potrzeb, oraz w bardzo wielu jednostkach tradycyjne, związkami rodzinnemi lub osobistem zetknięciem z pokoleniami dawniejszej emigracyi wywołane otaczanie Polaków specyalnie żywą i serdeczną życzliwością.

Poglądowi temu niejeden z kolegów przeciwstawi zapewne aljans rosyjsko-francuski, jako objaw zanikania sympatyj polskich w społeczeństwie francuskiem. Postaramy się udowodnić, że argument ten jest zgoła nieuzasadniony. Przymierze to niezaprzeczenie ohydne, jako związek państwa kroczącego na czele bojowników wolności obywatelskiej z przedstawicielem najwsteczniejszego despotyzmu, jest uważany we Francyi za wyraz konieczności politycznej, jako akt oportunizmu dyplomatycznego — w niczem zaś nie zmieniło dążeń wolnościowych narodu, ani jego ideałów w dziedzinie ogólno ludzkiej. Po utworzeniu trójprzymierza stał się on jedyną drogą dla Francyi do odzyskania, zachwianego wojną roku 1870, stanowiska poważnego w polityce wszechświatowej. Odosobnienie, w jakiem się Francya od wojny do zawarcia aljansu znajdowała, musiała wytworzyć ową atmosferę niepewności i niepokoju, której wyrazem stał się cały szereg niepowodzeń dyplomatycznych i kolonialnych, przesileń wewnętrznych i strat materyalnych. Należało za wszelką cenę znaleźć punkt oparcia w polityce zewnętrznej. Uprzedzającą życzliwością ujęła Rosya wrażliwą duszę francuską i oto byliśmy świadkami zawarcia aljansu. Opinia francuska przyjęła ten wypadek jako wybawienie od trapiącej kraj zmory odosobnienienia politycznego, jako punkt wyjścia ku odzyskaniu swego pierwszorzędnego stanowiska mocarstwowego, jako hasła ku wewnętrznej pracy cywilizacyjnej i kulturalnej.

Znalazły się natomiast żywioły inne, które aktowi temu nadać usiłowały i istotnie przez czas dłuższy nadawały, charakter sojuszu dusz narodowych, entuzyastycznego związku narodu francuskiego z narodem rosyjskim, żywioły. które się przed żadnem nie cofnęły kłamstwem, ażeby otumanić opinię tłumu i pobudzić go do owych entuzyastycznych objawów zachwytu i uwielbienia wobec wjazdu rosyjskiej pary do Francyi.

Stronnictwem, które ten gwałt zadało nieuświadomionej opinii francuskiej i pobudziło ją do niczem niezatartej hańby, jaką się owe entuzyastyczne manifestacye stały, są nacyonaliści francuscy. Stronnictwo to, słabe liczebnie, złożone z różnobarwnej mieszaniny rozbitków bulanżyzmu, bonapartyzmu, legitymizmu, orleanizmu i t. p. jest, a raczej było, gdyż dzisiaj wpływ jego z dniem każdym maleje, typowym przedstawicielem demagogii narodowej, operującej hasłami szumnie brzmiącemi, lecz pozbawionemi elementarnych zasad ewolucyi postępowej, wyzyskującej wszystkie instynkty tłumu, zarówno dobre jak złe, igrającej z namiętnościami ludowemi celem zdobycia popularności, a unikającej jak ognia programu pozytywnego, mogącego zapewnić społeczeństwu erę spokojnej pracy cywilizacyjnej.

Z jednej strony potrząsanie pięknem hasłem tolerancyi dla wszelkich przekonań, z drugiej zaś iście zwierzęce rozdmuchiwanie antysemityzmu, z jednej strony apel do narodu, jako do najwyższego trybunału przyszłości państwowej (agitacya za plebiscytem), z drugiej zwalczanie wszystkich konkretnych reform demokratycznych, parlamentowi przedstawionych; walka z kosmopolityzmem i bezwyznaniowością, jako hasła, a rzucanie się do stóp cara i najbezwzględniejsza walka z dyssydentami — jako praktyka — miłości ku przeszłości kraju: wyrażona w przekleństwach miotanych na najwznioślejsze chwile Rewolucyi francuskiej, walka z prądami obcymi, polegająca na zohydzaniu Anglii, a apoteozowaniu Rosyi — oto bilans nacyonalizmu francuskiego.

Kilka nazwisk wybitnych, lecz o polityce czynnej najmniejszego pojęcia pozbawionych, literatów (Lemaître, Coppée, Barrès) posłużyło za doskonałą reklamę przed zagranicą, zdołało też pociągnąć ku obozowi nacyonalistycznemu trochę sił młodych i niedoświadczonych, oślepionych pięknemi hasłami tego rzekomego patryotyzmu. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że te żywioły w istotnej działalności nacyonalistów rolę większą odgrywają; są to „firmy“, lecz za niemi stoją prawdziwi przywódzcy, a niemi

ludzie tacy, jak Syveton, Gautier (de Clagny), Berry, Millevoye, i t. d., redaktorzy piśmideł brukowych, demagodzy, nie posiadający w swym bagażu działalności publicznej żadnego realnego czynu społecznej pracy dowodzącego, a powtarzający do znużenia swe obelgi antyrepublikańskie, bezczeszczące wszystkich ludzi poza obozem nacyonalistycznym stojących, niezdolnych do innych okrzyków jak: „à bas Loubet“, „à bas l'Angleterre“, „à bas République“, „vive la Russie“. Za nacyonalistami stanęła, zawsze żądna senzacyi i zawsze łatwowierna, „ulica“ i jej też zasługą ów entuzyazm moskalofilski, który do tak potwornych był doszedł rozmiarów.

Oto jak się przedstawia istotna sytuacya.

Nie łudzimy się bynajmniej. Wiemy, iż najpoważniejsza część opinii francuskiej uważa alians francusko-rosyjski, za korzystny w polityce zewnętrznej Francyi, jako zabezpieczenie przed odosobieniem przeciw zaborczości Niemiec, lecz widzimy, że sojusz ten w warstwach poważnych, stojących po za krzykactwem nacyonalistycznem bynajmniej nie budzi entuzyazmu, a przeciwnie uważany jest jedynie za „malum necessarium“. Wyrazem tej właśnie opinii jest ów potężny, a dzisiaj w realne już kształty przyobleczony, ruch ku sojuszowi z Anglią i Włochami, jego wyrazem coraz częstsze przeciwko aliansowi w prasie występy (*Européen*, *Humanité*), a najświeższym dowodem krzyk protestu, jaki wywołała agitacya nacyonalistów za przyjściem z pomocą zbrojną Rosyi, w jej walce z Japonią, jej wreszcie wyrazem mnożące się objawy sympatyi względem społeczeństwa naszego.

Jaką względem obecnego społeczeństwa francuskiego my, Polacy rolę odegrać możemy i powinniśmy, w jakich granicach działalność naszą rozwijać bylibyśmy w stanie, czego się spodziewać możemy i czy wysiłki w tym kierunku podjąć warto, — o tem w przyszłym liście. *G. J.*

Kilka słów o ruchu wśród dziewcząt.

Dość powszechnem jest mniemanie u młodszych koleżanek, że ruch postępowy kobiet ma na celu upodobnienie zupełne kobiety pod względem jej istoty wewnętrznej do mężczyzny. Otóż mnie się trochę inaczej ta rzecz przedstawia. Ja uważam kobietę

za istotę z istoty swej głębszej zupełnie odmienną od mężczyzny, różny, skrajnie przeciwległy, ale typ ten nie jest zgoła mniej cennym — mniej szacunku godnym — od prawdziwego typu męskiego. Właśnie dla tego, że typ, o którym mówię, nie jest niższym, tylko różnym, niepotrzebnem jest naśladowanie mężczyzny. Przecie poezyi nie cenimy mniej od prozy, jeżeli jedna i druga z równym talentem jest uprawiana, i poezya nie ma potrzeby stać się prozą. Zupełnie to samo odnosi się do kobiety.

Jeżeli twierdzę, że te dwa typy są różne, przeciwległe swoją najgłębszą istotą, to jednak nie wykluczam pewnych cech wspólnych. Owszem powinny one istnieć. Ponieważ dotąd z powodu odmiennego wychowania i usuwania kobiet od wyższego wykształcenia, wspólności tej nie było, dlatego celem właśnie tego nowego ruchu postępowego u nas powino być wytworzenie wspólnych cech, naturalnie dobrych, t. j. z wyjątkiem takich, które jeżeli u mężczyzny nie są złe, to są w każdym razie niższe, a zatem przyswojenia niegodne. I na to należałoby zwrócić baczną uwagę. Wyrabiając czynniki wspólne, zachowajmy krytycyzm, nie sądźmy, że wszystko co mężczyzna robi, dobrem jest; jeżeli on np. pali, to z tego nie wynika żebyśmy od niego to przyjmowały. Jedna i druga strona ma dość swoich własnych wad, nie trzeba nowych przybierać. Palenie nie dla tego jest gorsze u kobiety, że ona jest kobietą, ale dlatego, że ona przyswoiła to, co przyswojenia niegodne, przeciw czemu obecnie sami mężczyźni ruch żywy wzbudzili. My, zamiast pomódz temu ruchowi bardzo postępowemu ze stanowiska społecznego, my przeciwnie to złe same przyjmujemy. Każdy człowiek powinien przerabiać na swą własność dobre strony bliźniego, ale nigdy liche.

Zanim określę, jakie mają być cechy wspólne, wypowiem się, na czem polega według mnie różnica typów. Otóż w typie kobiety jest ponad zrównoważoną siłą rozumu i wykształcenia, pewna ilość uczucia, kropla jedna tegoż, która o różnicy stanowi. Uczucie to nie jest czułostkowością, sentymentalnością, gdzież tam — to jest uczucie silne, wzbudzające dzielność, uczucie w jaknajszerszem znaczeniu, czy miłość Ojczyzny, czy miłość Boga, czy miłość idei. Nazywam to uczucie silnem, dzielnem dla tego, że na jego podstawie potrafi kobieta podnieść się z największego nieszczęścia i wrócić do czynu. Tylko takie uczucie godne tej nazwy, którego skutkiem jest energia, czyn. Inne jest słabym cieniem uczucia. Z tego, co powiedziałam, wynika, że rozum u kobiety, chociaż ró-

wny mężczyźnie, o ile równe jest wykształcenie i zdolności, jest jedynie siłą pomocniczą, jest radą wojenną, wodzem zaś jest to dzielne uczucie, które liczy się z uwagami rady wojennej. Nie tyle jest ono przewodnikiem w postępowaniu ciągłem, ile wodzem, dźwignią w trudnych chwilach życia. Stąd też uczucie, jak ja je rozumiem, jest nie tyle kierownikiem, ile osłodą życia kobiety; jest nią właśnie ta kropla przewyższająca równowagę. Przecie z powodu takich uczuć, z powodu takiej podpory życia nie można kobietę uważać za niższą istotę i potrzebującą zupełnej przemiany. Oczywiście nie twierdzę, że takich kobiet po ziemi dużo chodzi, że u wszystkich uczucie jest tak czystem, że ono u wielu jest tylko zawiścią lub ambicyą, ale także musimy przyznać, że nie wszyscy mężczyźni kierują i opierają się w życiu głównie na rozumie z uwzględnieniem też uczucia. Mimo wszystko świat ciągle dąży do doskonalszych form, aby w nie odziać idee nieraz bardzo dawne. Tak też, według mego zdania, czyste, silne uczucie powinno być pierwszym punktem w programie naszego kobiecego ruchu.

Taka jest mojem zdaniem różnica, należałoby teraz powiedzieć, jakie mają być cechy wspólne.

Pierwszym takim czynnikiem powinno być równe wykształcenie. Przez nie rozumiem nie tylko wykształcenie fachowe, ale też to ogólne, które pomaga człowiekowi do wyrobienia światopoglądu, wykształcenie nie tylko książkowe, ale głównie myślowe. Drugą cechę wspólną stanowić musi równe uspołecznienie, uobywatelnienie. Polega ono na tem, żeby kobieta czuła, że jest członkiem narodu, społeczeństwa, i że tu wszędzie należą się jej nie tylko przywileje dotychczasowe (bardzo jednostronne naturalnie), ale równie n a l e ż ą się jej też obowiązki, które dają dopiero prawo nazywać się członkiem. Trzecim punktem wspólnym powinno być wspólne wychowanie, polegające na równem postępowaniu z chłopcami i dziewczętami, na wpajaniu im od dzieciństwa równych zasad co do swego przeznaczenia (jeżeli przeznaczeniem kobiety jest być żoną i matką, to także przeznaczeniem mężczyzny być mężem i ojcem i jeżeli do tego celu mamy wychowywać kobiety, to także taksamo i mężczyzn).

Środkiem do osiągnięcia powyższych cech wspólnych musi być zetknięcie się mężczyzn i kobiet (w szczególności odnoszę to do kolegów i koleżanek) nie na dotychczasowym terenie, w salonach, gdzie obcowanie polega głównie na maskowaniu się i obłudzie, ale powinno ono się odbywać na gruncie wspólnej pracy po-

ważnej w rozmaitych towarzystwach, pracy czy to czysto kształceniowej, czy też zewnętrznej.

Dlaczego to wykształcenie i uspołecznienie koleżanek ma się odbywać właśnie wspólnie z kolegami? Otóż dlatego, że na poważnem obcowaniu ogromnie zyska wykształcenie myślowe koleżanek, przez starcie się ich poglądów z poglądami kolegów; do tego zaś koleżanki od bardzo niedawna się przyzwyczajają. Zyskałoby także uspołecznienie koleżanek w obcowaniu z kolegami, którzy od wieków przeszłych uspołecznienie odziedziczyli.

To właśnie wspólne kształcenie umysłu, rozumu, byłoby drugim punktem w dążeniach naszego ruchu.

Trzecim zaś czynnikiem, a zarazem skutkiem poprzedniego byłby wyższy poziom moralny, nietylko wśród danych kolegów i koleżanek, ale wśród całego narodu już w następnem pokoleniu. Przyczyna tego leży we wpływie, jakie obydwie płci wywierają na siebie. Wartość tego wpływu zależy nietyle od jednostek, ile od okoliczności, wśród których się one stykają. Obserwowałam to u koleżanek młodziutkich, zresztą dość płochych, które jednak wyznawały, że ilekroć na tle poważnej pracy spotykały się z kolegami, to się z nimi zupełnie inaczej obchodziły, rzeczywiście jak z „kolegami“. Wpływem tym więc należy tylko dobrze pokierować, a wyda on zupełnie inne skutki niż dotąd, usunie czułostkowość i zawroty głowy. Natomiast wzbudzimy w sobie poczucie pracy nad charakterem swoim, bo w tym kierunku właśnie silnie działają koleżanki na kolegów.

Czwartym momentem w naszych dążeniach winno być wychowanie fizyczne. Koniecznie należy kłaść nacisk na to, abyśmy w życiu silnemi były i fizycznie i w ten sposób same stać mogły bez podpór. Dlatego wzbudzić trzeba energiczniejszą i szeroką akcyę w celu wpisywania się koleżanek do „Sokoła“ lub też organizowania zabaw odpowiednich, albo ćwiczeń gimnastycznych samodzielnie pod przewodnictwem doświadczonego człowieka. W akcyi tej powinnyśmy mieć też nietylko siebie na względzie, ale i rodzeństwo nasze i odpowiednio działać na rodziców i starsze pokolenie.

Te więc wnioski wyciągam z poprzedniego: 1) powinnyśmy dążyć do podniesienia swojej istoty, do oczyszczenia uczucia, które nam tak w życiu potrzebne; 2) prowadzić wychowanie razem z kolegami; 3) podnieść swój poziom moralny i w tym kierunku działać na kolegów; 4) wielki nacisk kłaść na nasze wychowanie fizyczne, tak bardzo zaniedbane. *J. K.*

Szkoły średnie na ostatniej kadencyi sejmowej.

Rozprawy sejmowe tegoroczne w przedmiocie szkół średnich wyróniły się tem od poprzednich, że ze strony lewicy brakło dość energicznej odpowiedzi na reakcyjne zakusy większości. Wprawdzie zawsze rozstrzygało zdanie klerykalnej i konserwatywnej prawicy, przynajmniej jednak dawały się słyszeć protesty. Tegorocznemu Sejmowi wydały się galicyjskie szkoły zbyt liberalnemi, więc przeszła reakcyjna kohorta ze stanowiska obronnego do ataku, cała dyskusya odbywała się pod znakiem kropidła z wodą święconą.

Już komisya szkolna wytknęła Radzie szkolnej zbyt słabe zajęcie się „agitacyą polityczną i społeczną“, kiedy nie udzieliła o niej szczegółowego sprawozdania. Najobszerniej określił dążenia katolickiego kleru biskup przemyski, ks. Pelczar. Więc upomniał się przedewszystkiem o wzmożenie nauki religii, owego „pierwowzoru wszelkiej wiedzy“, rozwiódł się szeroko nad jej rzekomem upośledzeniem, z malowniczością odpustowego kaznodziei przedstawił członkom kasyna końskiego przerażający obraz szkoły bezwyznaniowej, do której gimnazya galicyjskie mają się upodabniać:

> „Szkoła bez Boga, to jak owa studnia apokaliptyczna, z której wydobywają się czarne chmury szarańczy, przyćmiewającej blade słońce, a pożerającej plon ziemi, bo z niej wychodzą pokolenia młode chyba na to, by zagasić światło prawdy i zniszczyć dobytek ludzkości.“

Któż winien tej okropnej grozie? Czy brak policyi, prokuratoryi i kryminałów?

> „Niestety, liberalizm w Austryi puścił samopas złe żywioły, jakby psy zajadłe ze smyczy, a duch jego pokutuje jeszcze w urzędach i sądach.

A władze państwowe, owiane tym „powiewem anarchizmu“ pozwalają rozrastać się błędnym ideom“, prokuratorowie nie trzymają się ani „Indeksu librorum prohibitorum“, ani encyklik papieskich ogłoszonych całemu chrześciańskiemu światu, pozwalają rozszerzać niektóre błędy, które wyraźnie potępił Pius IX. w swym syllabusie nowoczesnych idei.

Jeśliby w jakiemś hiszpańskiem albo belgijskiem katolickiem piśmie ogłoszono mowę ks. Pelczara, wynieśliby czytelnicy to przekonanie, że urzędy kraju patronatu Michała archanioła opano-

wują conajmniej masoni i żydzi i prą go gwałtownie w wiry „kulturkampfu“.

Nawet biblioteki szkolne, dobierane starannie „in usum Delphini“ wydały się podejrzane. Żądał więc imieniem biskupów galicyjskich, by

„zarządzano dokładną rewizyę książek we wszystkich bibliotekach szkolnych, a na przyszłość nie kupowano żadnej książki, której nie poleci osobna komisya, mająca w swojem gronie także kilku światłych kapłanów *)“.

Również i ogół nauczycieli, nietylko poszczególne jednostki, przedstawiają zdaniem przewielebnego arcypasterza — wiele do życzenia. Żądał więc, by w uczniowskiej spowiedzi „brali udział wszyscy nauczyciele z dyrektorem na czele, by obchodzono wszędzie jak najuroczyściej dzień imienin i rocznicę koronacyi Ojca św.“, by młodzież na razie przez trzy miesiące w roku była obowiązana asystować i śpiewać przy mszy codziennej; „by za wszelkie niedbalstwo (w tym kierunku) karano obniżeniem noty obyczajów“, wreszcie zaproponował wydawanie „*pisma dobrego dla starszej młodzieży*“.

Gorliwszym okazał się niejaki ks. Wilczkiewicz, l'enfant terrible rodzimego obskurantyzmu; więc poddał miażdżącej krytyce nowoczesne teorye filozofów i przyrodników, następnie wystąpił przeciw Eleuteryi, zganił Radę szkolną, że pewnego „suplenta za szerzenie idei socyalistycznych jedynie przeniesiono, a nie wykluczono z zawodu“, domagał się, by uczniów gimnazyalnych traktowano niby chłopców zakrystyjnych, wpajając w nich przedewszystkiem uczucie posłuszeństwa. Dopiero dyrektor Tomaszewski musiał hamować zbytnią zawziętość rozgorączkowanych księży, przypominając, że stanowisko katechetów dostaje się często jednostkom nietaktownym, które zbytnią gorliwością przynoszą dotkliwą szkodę i szkole i swej własnej powadze, następnie zastrzega się przed propozycyą „by młodzież karami zmuszać do ćwiczeń pobożnych.“

„I myli się ks. Wilczkiewicz, jeżeli chce, ażeby: „tak-tak, nie-nie“ miała być mowa dyrektora lub profesora do

---

*) Na przysięgłego inkwizytora można już z góry przeznaczyć ks. Aleksandra Pechnika, eksperta od masoneryi i socyalizmu, który zasłużył się już spalaniem wielu „niebezpiecznych“ dzieł, zapisanych uczniom gimnazyum tarnowskiego.

młodzieńca dorosłego. Dziś powag już prawie niema na świecie, duch krytyki wzmógł się bardzo, młodzieniec dziś żąda wytłómaczenia dlaczego ma słuchać? Młodzieniec musi nabrać przekonania, że wszystkie polecenia dyrektora, profesora zmierzają do jego dobra, dziś ślepego posłuszeństwa nie można już w młodzież wpoić."

Przemówienia ze strony konserwatywnej były nieprzerwanem, tasiemcowo długiem powtarzaniem aż do znudzenia tych samych narzekań nad obecnym stanem młodzieży — niby poranne godzinki. Zawodzili żałośnie nestor sejmowy i biskup wraz z pospolitym księżyną dąbrowskim, nie różniąc się wcale całkowitą ignorancyą w sprawach szkoły. Biadano nad upadkiem idealizmu wśród gimnazyastów, przedstawiano ogół uczniów jako zgraję pijaków, zżartych chorobami płciowemi, przepojonych pesymizmem bluźnierców i dekadentów, opowiadano niestworzone rzeczy o „tajnych związkach z tendencyami anty-religijnemi i anty-społecznemi" (zawód kaznodziejski kształci wyobraźnię i pozwala dostrzegać zjawiska, których zwykły śmiertelnik dotąd nie oglądał), brakło tylko legendy o wężu Lewiathanie.

Gdyby ci zawodowi i przygodni kaznodzieje zechcieli bliżej poinformować się o stanie moralnym młodzieży, przekonaliby się, że oto wyklęty ruch samokształcenia zorganizował silną akcyę przeciw pijaństwu i rozpuście, daleko skuteczniejszą od kropidła i kar najsurowszych.

Lamenty ze strony konserwatywnej były tak głośne, jakby całe wychowanie publiczne prowadzone było w innym duchu niż katolickim, jakby nie ten panujący system i jego obrońcy byli odpowiedzialni za istniejące zło. Nie wystarczy im, że prawdę naukową rozciąga się na prokrustowem łożu katolickich dogmatów, że całe życie szkolne przeładowuje się przeróżnemi dewocyjnemi praktykami, wszystko to im nie wystarcza.

Dotychczasowe środki nie wystarczyły, więc domagają się wyraźnej i otwartej agitacyi w kierunku klerykalnym, żądają poparcia dla sodalicyi maryańskich.

Jakie role spełniały te towarzystwa w niektórych szkołach, zbyt dobrze wiemy, nie tajne nam również prawdziwe cele tego arcybractwa. Sejm przychylił się do żądania biskupów, nadto powtórzył wezwanie do rządu, by naukę religii uczyniono przedmiotem egzaminu dojrzałości.

Jeżeliby zatem rząd zezwolił na należenie uczniów do sodali-

cyj, brakłoby mu dostatecznej siły do ograniczenia tego przywileju jedynie dla nich samych, otworzyłaby się droga do towarzystw innych, bardziej dla młodzieży sympatycznych.

Z drugiej strony taka urzędowa agitacya nie przyniesie poważnej korzyści klerykalnej sprawie, bo coraz mniej dzielnych jednostek zostaje poza ruchem wolnego samokształcenia, wszystkie zaś postępowe żywioły w szkole dołożą wszelkich sił do zgniecenia w samym zarodku tego ruchu, szkodliwego ze wszech miar swą obłudą, istotnymi celami i praktykowanymi już środkami działania.

* * *

Przechodzimy do rozpraw szczególnych.

Na wniosek komisyi szkolnej uchwalono wezwanie do rządu, by obok gimnazyów zakładał szkoły zawodowe „z kierunkiem praktycznym". Przeważną pobudkę do wznowienia tej sprawy ze strony koserwatywnej jest opawa przed proletaryatem o wykształceniu uniwersyteckiem, któremu już teraz brak chleba.

Słusznie jednak zauważył w odpowiedzi dyr. Tomaszewski, że nie przez szkoły przemysłowe wytworzy się przemysl w naszym kraju, lecz odwrotnie:

> „rozwinięty przemysł wytworzy popyt za siłami fachowemi, a więc wytworzy potrzebę założenia licznych szkół przemysłowych. — Jabym bardzo był rad, gdyby dobry przykład w tym względzie wyszedł właśnie z tej strony, która najgłośniej i najczęściej woła, a nie idźcie do gimnazyum ale do przemysłu (brawa); gdyby ta część społeczeństwa, która tak woła do innych, raczyła bodaj część swych kapitałow pościągać z banków angielskich i obrócić je na zakładanie fabryk w kraju."

Zresztą uchwała sejmowa nie przesądza sprawy, jeżeli Koło Polskie nie zajmie się popchnięciem jej w Wiedniu, albowiem rząd centralny zachowuje się z najwyższem lekceważeniem nietylko wobec żądań kraju, ale nawet wobec formalnych uchwał sejmowych. N. p. odnośnie do spraw szkolnych zignorował całkowicie żądanie Sejmu o uznanie nauki historyi polskiej za przedmiot obowiązkowy.

Jednak najważniejszem postanowieniem Sejmu jest przyjęcie wniosku hr. Dzieduszyckiego w sprawie drugiego języka krajowego, nadto przyzwolenie na gimnazym ruskie w Stanisławowie. Jestto spadek po kadencyi zeszłorocznej: Był w konserwatywnej

teczce wniosek daleko groźniejszy, bo projekt zakładania gimnazyów utrakwistycznych, nie podniesiono go jednak z powodu stanowczego sprzeciwienia się opinii bublicznej i kół fachowych, stworzono jednak nowy posterunek separatyzmu ruskiego, włączono do programu nauk piąty język, nie oglądając się na żadne względy wychowawcze lub naukowe. Zapewne będą te sprawy szerzej rozstrząsane na łamach *Teki*, na tem zaś miejscu poprzestaję na zaznaczeniu, że tak ogromnie ważne zagadnienie ten projekt, sprzeczny z przeważną opinią kraju, nie wywołał w Sejmie naszym tak nawet mizernej dyskusyi, jak samo sprawozdanie Rady szkolnej. Obce wnioski były ukartowane po za kulisami, ażeby z góry zapewniono sankcyę cesarską, a to co dokładnie ułożono w kasynie lub salonie nie wymaga rozstrząsania na posiedzeniu Sejmu. Więc zmieniono ustawę krajową w tym kierunku, — że w szkołach średnich polskich — język ruski w zakładach ruskich — język polski, będzie odtąd przedmiotem obowiązkowym w tych zakładach, które minister oświaty na wniosek Rady szkolnej wyznaczy. Nie zgodzono się nawet na poprawki prof. Głąbińskiego, by tę zmianę ograniczyć do gimnazyów, by wyżej wymienione oznaczenie szkoły przysługiwalo nie rządowi centralnemu, ale każdorazowej uchwale Sejmu.

W końcu wymieniam ważną ustawę o organizacyi Rady szkolnej, która zapewnia tej instytucyi trwalsze istnienie niż dotąd obowiązujące rozporządzenie cesarskie, jednak nie uwzględniono w dostatecznej mierze czynnika samorządnego: wnioskodawcą był nazbyt dobrze znany prof. Michał Bobrzyński.

Tyle na razie dla informacyi.

Zaczepne stanowisko żywiołu klerykalnego, nowe gimnazyum ruskie, przymusowa nauka ruszczyzny — oto główno owoce dzisiejszej kadencyi sejmowej na polu szkolnictwa średniego, — postanowione przez konserwatywną większość przy zupełnej niemal obojętności i bierności „lewicy“. *S. P.*

Korespondencye.

Łomża *w listopadzie.*

Jeżeli mam pisać o ruchu umysłowym wśród młodzieży łomżyńskiej, to mogę zapewnić, że w żadnym ze znanych mi gimna-

zyów nie spotkałem się z takim, jak u nas materyałem duchowymi Wykształcenie? Zawcześnie im na to. Inteligencya? Nic nadzwyczajnego. Wybitne zdolności? Nie większe niż gdzieindziej. A jednak jest coś, co młodzież łomżyńską odróżnia od młodzieży innych miast prowincyonalnych, co zestawia w korzystnem świetle, czyn. sympatyczną nawet w powodzi jej wad i błędów. Nie posądzajcie mnie o prowincyonalny patryotyzm łomżyński. Ja tylko widzę wśród młodzieży naszej dążenie do prawdy, gorące pragnienie zdobycia wiedzy, szczerą chęć wyjaśnienia sobie wielu zjawisk, nie zwracających na siebie uwagi ogromnej większości młodzieży. Stąd znaczna ruchliwość umysłowa, praca nad samokształceniem, często ze szkodą nauki gimnazyalnej, oraz wielka rozmaitość typów umysłowych, w bieżącym zresztą roku szkolnym mniejsza może, aniżeli rok lub dwa lata temu (o czem poniżej), ale zawsze znaczna.

Oczywiście, wyrażając się w ten sposób, nie zapominam, że piszę właśnie o jednej tylko części młodzieży naszej — i tę też głównie uwadze Waszej pragnę polecić. Dzielić młodzież szkolną utartym szlakiem na kilka grup; nalepiać na każdej z nich etykietki „kowali", „złotych młodzianów" etc., -- niewdzięczna praca. Typy te są tak powszechnie znane i tak nieciekawe, że nie waha się poświęcać czasu, gdy się ich nie bada osobliwie.

Każdego, kto na łomżyńskim bruku zajmuje się obserwacyą młodzieży, przedewszystkiem uderzyć musi znacznie rozwinięte czytelnictwo. Czyta się dużo, za dużo nawet, bo ze szkodą dla nerwu życiowego, dla wrażliwości na fakta rzeczywiste. Dyskutuje się nad rzeczami przeczytanemi czysto i gorąco, ale dysputy te przypominają czasami t. zw. „dysputy akademików", lub scholastyczne spory mnichów bizantyńskich. Pracuje się — a raczej pragnie się pracować — według różnych programów samokształcenia, opartych na na rozległem czytelnictwie i obliczonem na szereg lat, ale zapomina się o zwracaniu uwagi na doświadczenie życiowe... I tak dalej.

Wspomniałem o wadach i błędach. Są liczne i wielkie. Wszystkie one, jak powyższe, wynikają z naszego sposobu kształcenia się, często źle pojętego, z deduktywności w nas tkwiącej, z upodobania do rzeczy ogólnych, do syntezy przedewszystkiem. Może to usiłowanie syntez jest w związku z przełomem umysłowym, zachodzącym w tym czasie? Nie wiem. Wiem jeno, że odbija się ono fatalnie na umysłowości naszej, wzmacniając zgubny wpływ szkoły rosyjskiej. Dzięki temu każda zaleta ciągnie za sobą, jak cień jakąś wadę, każda myśl dobra w wykonaniu paczy się, każdy objaw

żywego u nas ruchu umysłowego, wydaje się i jest do pewnego stopnia płodem poronionym. Obok gorącej chęci uczenia się — zupełny brak umiejętności pracy. Obok dążenia do prawdy — skłonność do dogmatyzmu. Obok znajomości kierunków filozoficznych — ignorancya w sprawach najbliżej nas obchodzących. Obok gorliwego zajęcia się młodszymi kolegami — chęć narzucania im swych zapatrywań... Nie skończę chyba tej litanii. Dlatego przechodzę do faktów.

W ostatnich czasach pisano u nas tak wiele, że to dało myśl paru kolegom do ogłoszenia konkursu na utwór naukowy lub beletrystyczny. Myśl piękna. Ale czy konkursy takie nie zrodzą zwykłej grafomanii, czy nie lepiej byłoby ogłosić konkurs na najlepsze streszczenie jakiegoś dzieła naukowego lub utworu poetyckiego? Wystarczałoby zwrócić uwagę na gruntowne zrozumienie i sumienne oddanie streszczonego dzieła, oraz na język; wynik byłby na pewno o wiele więcej dodatni. Żałuję, że konkurs omawiany ogłoszony był zbyt późno, że nie mogę scharakteryzować jego wyników. Idźmy dalej.

Jednym z objawów ruchu umysłowego jest kwestyonaryusz rozdany w ubiegłym roku szkolnym młodzieży gimnazyum męskiego i żeńskiego przez jednego z kolegów. Kwestyonaryusz traktował „o wszystkich rzeczach i niektórych innych i był sformułowany nad wyraz niedołężnie. Zwracając się do Polek i Polaków, autor zapytuje n. p. „Do jakiej się zaliczasz narodowości?“ „Jakiego języka używasz w domu?“ Może domyślano się istnienia Polaków narodowości niemieckiej, mówiących w domu po rosyjsku?

Sądzę, że kwestyonaryusz zredagowany w jasno określonym celu (np. w sprawie czytelnictwa, położenia ekonomicznego, w kwestyi płciowej) i rozdany szerszemu kołu ludzi ma racyę bytu i przynieść może w dobrem opracowaniu wielką korzyść. Nie rozumiem natomiast, jaki pożytek mógł przynieść kwestyonaryusz, rozdany koleżankom i kolegom, których z życia znamy wszyscy lepiej, anieżeli z ogłoszonych odpowiedzi. A odpowiedzi te, wogóle mówiąc, godne były — zapytań.

Bo wszak między pytaniami, wystosowanemi do koleżanek i kolegów z kl. V. były i takie, jak: „jakie są twoje zapatrywania religijne?“ Okazało się, że w kl. V. męskiej jest „9 katolików, 7 rzymskich katolików, 3 chrześcijan, 7 bezwyznaniowców, 1 nieszczęśliwy chrześcijanin, powątpiewający w istnienie Boga, 1 katolik nominalny (?)“.

Nie mogę powstrzymać się również od przytoczenia cyfr ma-

jących odpowiedzieć na pytanie: „do jakiego stronnictwa się zaliczasz?" Odpowiedzi wykazały, że wśród młodzieży gimnazyum męskiego, zaczynając od kl. V. było narodowych demokratów 8, demokratów 4, socyalitów 9, „sympatyków" socyalizmu 4, członków P. P. S. (?) 4, „sympatyków" P. P. S. 2, socyal-demokrata 1, socyalista-rewolucyonista (?) 1, postępowców 6, bezpartyjnych 16, należących do stronnictwa Pomocy Bratniej(?) 2, patryota (?) 1". Dosłownie.

Najwięcej zdecydowane i wyrobione przekonania pod tym względem, jak widać z ilości odpowiedzi, miała kl. V. (obecna VI.) męska.

Z tych danych można wyrobić sobie dokładne pojęcie o wartości nie tyle kwestyonaryusza (która jest znacznie mniejsza), ile udzielonych nań odpowiedzi. Odpowiedzi te, jeżeli są szczere, dowodzą, że w głowach młodzieży naszej panuje straszne pomieszanie pojęć, oraz że przekonań politycznych nabywa ona już w kl. V. A może wcześniej?

Czy autor kwestyonaryusza nie zastanowił się nad tem, że nie można wymagać wyrażania poglądów, które nie mogły się jeszcze ustalić, że kwestyonaryusz ów mógł przyśpieszyć formułowanie zapatrywań, należycie niewyjaśnionych, mógł zrodzić ową „robotę" pospieszną, powierzchowną, a więc bezwartościową, więcej szkodliwą? Bo po nalepieniu wywieszki stajemy się już mniej wrażliwi, staramy się utrzymać firmę jak najdłużej, często ze szkodą poważną dla umysłu, który w tym roku jeszcze rozwijać się, pogłębiać, a więc i zmieniać powinien.

Znaleźli się tacy, którzy uważają to za objaw dodatni. Wskazuje to (kategoryczność odpowiedzi) na pewną dozę wrażliwości tych osobników, ponieważ potrafią się one przejąć duszą i ideą. Nie wiem, co w danym wypadku ma znaczyć przejęcie się duszą, wrażliwość młodych umysłów lub zwalczanie tego czy innego stronnictwa, o którem się nie ma pojęcia, dowodzi nie tyle wrażliwości, ile dążenia do zbyt wczesnego określania się, do stawiania jakichś granic swemu rozwojowi umysłowemu. Jeżeli nawet zgodzimy się, że te odpowiedzi częstokroć bez sensu, mają znaczenie tylko tymczasowe, to i tak w ostatecznym wyniku zostaje znaczna szkoda, za którą należy uznać tamujące rozwój postępowy: przewaga formułek i traktowanie najważniejszych spraw powierzchownie.

W sprawie poglądów politycznych i społecznych młodzież nasza podobna jest do owego pijanego, który siadając na osła z je-

dnej strony, z rozpędu spadał na drugą. Niedawno jeszcze silne było przekonanie, że młodzież powinna być „bezpartyjną“, co się wyrażało w nieznajomości najważniejszych faktów naszego życia narodowego. Teraz „partyjność“ dochodzi do tego, że są „partyjnicy“ w kl. V, a starsi ich koledzy piszą: „Daleko więcej podobają mi się owi partyjnicy, mający dość małe pojęcie o partyach, do których się przyznają, niż ci chłodni, bezpartyjni, niezdolni przejąć się żadną żywszą ideą (?)“. Że też koledzy moi nie mogą siąść na osła i z całą świadomością sympatyzować z tem lub innem stronnictwem na podstawie dokładnego poznania wszystkich!

Niestety! Pozostaje to, przynajmniej obecnie, pobożnem życzeniem. Bo u nas socyalizm poznaje się z Bellamy'ego, a źródłem do poznania kierunków i stronnictw polityczno-społecznych polskich jest — Feldmana „Na posterunku“. Piszę to zupełnie seryo. P. Feldman dożył tej pociechy, że jego książki stanowią studnię mądrości politycznej dla młodzieży łomżyńskiej obojga płci.

Można bardzo cenić p. Feldmana jako krytyka, poetę, jako polemistę, wreszcie, ale jako „bezstronnego i rzetelnego uczonego“. Darujcie! Dość przeczytać jego „Rzecz o narodowej demokracyi“, pełną patosu, starającą się grać na nerwach i hypnotyzującą pięknemi frazesami, a pozbawioną najzwyklejszej sumienności — aby dojść do przekonania, że we wskazanym powyżej celu pisma jego służyć nie mogą. A jednak tak się dzieje!

To też samokształcenie społeczne polega u nas na czytaniu broszur, nic wspólnego z nauką nie mających, a ideałem jest osiągnięcie „wykształcenia socyalistycznego“ (?) lub „poglądu na świat“, zależnie od temperamentu przeczytanych książek.

W innem miejscu zwracałem uwagę na to broszurkowe wykształcenie, na to dążenie do przyswojenia sobie cudzych uogólnień, nieopartych na znajomości faktów, na ten nasz intellektualizm, teoretyzm, czy jak to się tam nazywa. Historya prawie nie ma wśród nas zwolenników. Nauka dziejów ojczystych polega najczęściej na przyswajaniu poglądów ogólnych na każdy okres, historya powszechna obrzydła nam dzięki temu, że wykładają ją w gimnazyum. W ten sposób jesteśmy chronicznie nieuleczalnie chorzy na brak podkładu historycznego, perspektywy dziejowej, tak niezbędny dla każdego średnio wykształconego człowieka — i brak ten odbija się na umysłowości naszej fatalnie.

A ekonomia? No, tak — Bebel, Bellamy...

Najgorzej zaś, po macoszemu traktowane są nauki przyro-

dnicze, które niewielu mają między nami zwolenników. Zamiast zająć się naukami opisowemi lub biologicznemi, któreby na nieco dogmatycznie i abstrakcyjnie nastrojone umysły mogły oddziałać nieskończenie dobroczynnie, prowadzimy przedwczesne walki na tle naszych sympatyj politycznych i społecznych, walki roznamiętniające i nie pozwalające nawet teraz bezstronnem okiem młodych gruntownie rozpatrzeć ścierających się prądów życiowych, walki, potęgujące wszystkie ujemne cechy, nabyte dzięki wpływowi szkoły rosyjskiej, więc brak krytycyzmu, więc oderwanie od życia, więc pewność siebie, zdumiewającą spostrzegacza.

Od tych prac syzyfowych, od szamotania się z piętnem przekleństwa, wyciśniętnem na umysłowości naszej przez szkołę, od tych walk, które toczymy samotni w najgłębszych tajnikach duszy naszej i od tych, które rozbrzmiewają gwałtownym gwarem słów i grzmiących frazesów natłoku w mieszkaniach uczniowskich i na „deptaku“ — przechodzę do pracy nie tyle głośnej, ale nie mniej pożytecznej. Chcę mówić o wychowaniu fizycznem.

Są wśród kolegów moich nieliczni, ale dzielni szermierze gimnastyki, tak rzadkiej wśród naszej młodzieży gimnazyalnej, gier i sportów, zamiłowanie swe starający się przelać w innych i osiągających wyniki znaczne w porównaniu ze środkami, jakimi rozporządzają. Jeżeli zaś nie wywierają szerszego wpływu, jak na to zasługują, jeżeli koledzy z klas wyższych nie przyjmują większego udziału w tej pracy, wina to w cześci braku czasu (wielu zapracowywa się na konferencyach), w części zaś — niedoceniania wagi rozwoju fizycznego. Nie przyzwyczailiśmy się dbać o ciało nawet tak, jak dbamy o fryzowanie włosów...

Gdy dodam, że koledzy ci czytają wspólnie dziełka z zakresu hygieny ogólnej, oraz prace poświęcone hygienie i etyce życia płciowego w szczególności, stanie się jasnem, że w innych warunkach, a szczególnie przy zajęciu się ze strony szerszego koła młodzieży gimnazyalnej, młody ten ruch na rzecz ciała stałby się w życiu naszem czynnikiem niesłychanej doniosłości.

* * *

Muzo! Wyśpiewać mi pomóż walki krzykliwe, a srogie bo oto chcę rzucić kilka słów w sprawie ruchu umysłowego wśród naszej młodzieży żeńskiej.

Niesłychany brak wyrobienia, mała spójność, wielka zale-

żność od rodziców, krępujących w znacznym stopniu swobodę ruchów koleżanek (teraz może już luźniejszą), wreszcie brak większej ilości jednostek, interesujących się naprawdę i szczerze sprawami, wywołującemi fermenty i burze wśród młodzieży męskiej, wszystko to nie pozwoliło tam dotąd ugruntować się poważnej pracy wspólnej. Zapoczątkowana przed kilku laty, co rok rwała się i co rok trzeba się było zawiązywać na nowo. Uczono się niewiele. Ruchliwsze i inteligentniejsze z pośród koleżanek zmagały się ze ślizkiemi ramionami polipa apatyi, obejmującemi ogół w swych potężnych uściskach. Ten bezład senny, ta bierność, nie dająca się zwalczyć wysiłkami kilku par ramion...

I oto obecnie ruch i zgiełk. Lecą słowa, frazesy, ba! całe „Listy". Co to za gwar? Są koleżanki pragnące pracować pod kierownictwem uczniów. Tych była większość. Po pewnym czasie powstał silny prąd w kierunku pracy samodzielnej i zdobył większość wśród rozgwaru walki. Sądzę, że ostatni jest objawem dodatnim.

Nie mówię o tem, że wychowanie domowe ani życie towarzyskie nie uzdolniło wszystkich w jednakiej mierze do pracy wspólnej. Podniosę inną rzecz. Trzeba znać brak samodzielności koleżanek, trzeba widzieć bezgraniczną nieraz wiarę in verba magistri — ucznia, wśród większości tych panien, żeby się przekonać, że praca samodzielna posiada dla nich znaczenie nieskończenie wielkie. Pytanie tylko, czy rok ten nie będzie bliźniaczo podobnym do lat ubiegłych, czy będzie to naprawdę praca płodna i szczera? Jeżeli tak, witamy ten objaw z radością. Rywalizacya — cokolwiek powiedzą obrońcy solidarności — w danym wypadku jest również objawem dodatnim. Praca wśród uczenic była dotąd roślinką cieplarnianą, chwiejącą się za każdym wiatru podmuchem na słabej łodydze; rozczulająca, niepłodna jednomyślność nie stanowiła gruntu, na którym mogłaby wzrastać zdrową i krzepką. Z tego względu walka jest i była pożądaną. Może w jej płomieniu wzmocni się spójność; może wysunie ona szereg przodownic; może zrodzi żywszy ruch umysłowy i zapewni mu przyszłość. *M. D.*

Biała Podlaska.

Od ostatnich dwu lat w naszem gimnazyum zaszły pewne zmiany tak w składzie osobistym nauczycieli, jak i w stosunkach koleżeńskich.

Inspektor Straszkiewicz, osobistość dobrze znana w Królestwie ze swojej działalności rusyfikatorskiej, za gorliwe i umieję-

tne prowadzenie śledztwa podczas naszego wystąpienia z żądaniem polskiego języka w wykładach religii dostał..... dymisyę i tegoż 1902 r. umarł. Dyrektor Solski przebył w gimnazyum rok dłużej niż inspektor. Był to dość niebezpieczny rusyfikator; poza maską „dobriaka“ (dobrodusznego poczciwca), można było dojrzeć prawdziwą jego naturę. Przeczuwając bliską dymisyę, używał wszelkich środków, ażeby pozostać w Białej, lecz daremnie: w początkach roku szkolnego 1903/4 ustąpił dyrektorowi płockiego gimnazyum, Ignatience (Charakterystykę jego ob. w nrze 12 *Teki* z r. 1903), którego z Płocka przeniesiono do nas za ukaranie ucznia-Rosyanina, który w czemś nie chciał usłuchać gubernatora. (Gubernator również został przeniesiony do Odessy na naczelnika miasta). Że p. Ignatienko ma w swoim charakterze wrodzone służalstwo dla gubernatorów, świadczy zdarzenie, zaszłe podczas przyjazdu do Białej nowego siedleckiego gubernatora. Dyrektor przypomniał uczniom, że przy spotkaniu z tym dostojnikiem powinni mu oddawać „należny szacunek“, dla uniknięcia zaś przeoczenia go radził, by idąc ulicą, „oglądali się na wszystkie strony“. W końcu, ostrzegłszy przed smutnemi ewentualnościami, jakie mogłyby wyniknąć z niewypełnienia jego rad, kazał nam zebrać się w gimnazyum w niedzielę przed południem, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa, miał tam przybyć gubernator.

Uczniowie stawili się dość licznie z wyjątkiem pewnej części Polaków; zostali ustawieni na dziedzińcu w czworobok i stali tak w słońcu około półtorej godziny, jedynie dla tego, by usłyszeć od dyrektora wiadomość, że pan gubernator pojechał do klubu na śniadanie, które nieprędko się skończy, więc mogą się rozejść.

Nie uszła uwagi dyrektora okoliczność, że uczniowie - Polacy za mało obcują z kolegami Moskalami i zupełnie się nie znają z moskiewskiem towarzystwem, więc postanowił zaradzić złemu przez wydanie balu gimnazyalnego, połączonego z popisami chóru i orkiestry oraz nieśmiertelnemi deklamacyami; na bal zostały zaproszone rodziny nauczycieli, oficerów, urzędników, jednem słowem kwiat towarzystwa moskiewskiego.

Dyrektor gorąco zachęcał uczniów do wzięcia udziału w literackiej części balu i, idąc za wskazówkami nauczycieli, sam nawet wybierał niektórych. W 7 klasie na jego wezwanie ofiarowało swe usługi dwóch Moskali i tyluż żydów. Wtedy p. Ignatienko przybrał arcy-poważną minę i sądząc, że takim sposobem dopnie celu, zapytał:

— A z Polaków nikt nie weźmie udziału w „wieczorze?“ Klasę zaległa cisza; dopiero obecny w klasie nauczyciel, wyratował go z kłopotliwej sytuacyi, począwszy... wychwalać zdolności deklamacyjne, jednego z Moskali. W klasie rozległo się wtedy podobno kilka głośnych parsknięć śmiechem. Lecz dyrektor nie dał jeszcze za wygranę i zaczął kolejno pytać Polaków, dlaczego nie chcą wziąć w deklamacyach udziału. Pierwszy powiedział, że ma słaby głos, drugi — złą wymowę, następnych już nie słuchał i wyszedł z klasy. Ostatecznie w „wieczorze“ z Polaków nikt nie brał udziału, natomiast wielu było na nim. Był to ze strony tych kolegów duży błąd, zwłaszcza, że przed balem i oni mówili, że nie pójdą. O tem postanowieniu wiedzieli młodsi koledzy i jakże musieli się zdziwić widząc albo dowiedziawszy się o obecności na balu wielu starszych, którzy przedtem głośno mówili: n i e i ś ć! Takie postępowanie należy bezwzględnie potępić, jako obniżenie swej powagi w oczach własnych i w oczach młodszych kolegów; doprowadzi ono do tego, że będą młodsi wierzyli raczej inspektorowi, niż starszemu koledze. Czyż by tych „balowiczów“ skusił poczęstunek? Bo jakże sobie to wytłumaczyć, że za dyr. Solskiego na podobne „wieczory“ lecz bez poczęstunku nie chodziło się, a za Ignatienki, nawet pomimo przyrzeczeń, się poszło? Był to wielki błąd, który trzeba zmazać usilną pracą i poświęceniem próżnej ciekawości i zachcianek.

Inspektorem jest niejaki Juraszkiewicz przeniesiony do Białej z Kielc*) za wykroczenie przeciw moralności publicznej. Rolę rusyfikatora wskutek ograniczenia umysłowego i lenistwa gra niezdarnie. Daleko niebezpieczniejszym od niego jest Karpowicz, były nauczyciel gimnazyalny w Chełmie. Przedewszystkiem cechuje go wstrętne służalstwo wobec wszelkiej władzy począwszy od dyrektora. P. K. z uczniami stara się wejść w bliższe stosunki, bywa dla nich dość często usłużnym i uprzej-mym i bardzo dobrze udaje liberała. Pewnego razu wszakże wydało się, że podsłuchiwał pod drzwiami klasy siódmej, w której uczniowie z jakiegoś powodu pozostali na chwilę po skończonej lekcyi. Większość kolegów poznała się na nim odrazu.

Najwięcej interesującym i najdłużej przez nas oczekiwanym był ks. prefekt. Reskrypt cesarski nakazał wprawdzie ministrowi oświaty „ażeby z p o c z ą t k i e m przyszłego roku szkolnego (t. j.

*) Poprzednio nauczyciel w Suwałkach.

1903/4) wykłady religii rzymsko-katolickiej w języku ojczystym uczniów odbywały się we wszystkich bez wyjątku średnich zakładach naukowych", lecz z wypełnieniem tego polecenia zwlekano u nas pół roku, gdyż nikt nie mógł się zgodzić na śmiesznie małe honoraryum, które rząd ofiarowywał prefektowi. Nareszcie 27 lutego b. r. zjechał do Białej, jako prefekt, ks. Antoni Biernacki i w poniedziałek 29 rozpoczął wyklady. Tymczasem spotkał nas przykry zawód: Polakom z klas starszych lekcye religii skrócono z dwóch do jednej godziny tygodniowo. Zrobiono to ze względu na koszta materyalne! Druga rzecz chociaż mniejsza, lecz zarówno oburzająca: jak wiadomo, Polacy słuchają wykładów religii w osobnej klasie, u nas zaś odbywają się tam również lekcye greckiego. Kiedy przyjechał ks. prefekt okazało się, że na jedną godzinę przypada religia w I. i greka w V. klasie, i pierwszoklasiści muszą słuchać wykładów po skończeniu wszystkich lekcyi.

Niepodobna pominąć patryotycznej manifestacyi urządzonej w końcu karnawału: kilku uczniów — Moskali, mieszkających w internacie, podpiwszy sobie, zdjęło ze ściany portret cesarza, ze strychu dwie flagi i wyszło na ulicę w towarzystwie 10—15 malców od wstępnej do IV. klasy. Otoczeni tłumem radośnie wyjących żydziaków przeciągało ulicami, wzbudzając wśród spotykanej publiczności ironiczne uśmiechy. Polaków było dwóch: jakiś wstępniak i czwartoklasista Kornaszewski, znany ze swoich poglądów i głupoty.

Uczestnicy tej manifestacyi otrzymali podziękowanie cesarza.

Tadeusz Podlaski.

Kalisz.

Przed kilkoma laty w jednym z numerów „Teki" czytałem korespondencyę z Kalisza, przedstawiającą tutejszą młodzież w niezbyt pochlebnym i zaszczytnym świetle. Od tego czasu wiele, wiele zmieniło się w naszych stosunkach ulegając maksymie: Tempora mutantur et nos mutamur in illis. Miasto nasze, czyste dość i schludne (z wyłączeniem dzielnic żydowskich jest jakby poprzecinane trzema korytami Prosny. Nadaje mu to niezwykle odrębną fizyognomię przez liczne mosty (18), większe lub mniejsze spadki wód, malowniczość ulic, tworzących cieniste aleje drzew (Babika — Aleje Józefiny). Obfitość wody, w którą tak hojnie uposażonym jest Kalisz, ujemnie wpływa na stan zdrowotny jego mieszkańców.

Z większych instytucyi miasto nasze posiada, prócz rządowych, — Towarz. kred. Ziemskie, Tow. poż. Oszczędności, Bank handlowy, Kasę posagową „Wesele“, Towarz. Muzyczne we własnym gmachu, piękny budynek teatralny, gimnazya: filologiczne, realne i żeńskie, pensyę prywatną i niezadługo siedmioklasową szkołę handlową. Zdawałoby się więc, iż życie społeczne, stwarzając tak liczne i różnorodne instytucye samopomocy silnym tętnem bije, iż mieszkańcy, odznaczając się tak dzielną skądinąd przedsiębiorczością tworzą silnie zorganizowany i skonsolidowany zastęp ludzi poważnie i zdrowo myślących o potrzebach duchowych i umysłowych, że jednem słowem miejscowa inteligencya stanowi ścisły zespoł ludzi wspólnych przekonań, dążących do jednego upragnionego celu: żyć pełnią życia i dążyć do ciągłego rozwoju. Tak jednak w rzeczywistości nie jest. Miejscowa inteligencya — że użyję wyrażenia jednego z jej przedstawicieli — odznacza się pojęciami rosyjskiego żandarma. Tak dziewiczo-niewinnym jest Kalisz pod względem prawomyślności, tak nieskalane czystym pod względem prawomyślności, tak nieskalanie czystym pod względem reagowania na ciągłe, a hańbiące policzkowanie społeczeństwa polskiego, tak żywą jest w nim jeszcze tradycya rządów „zalotnego“ gubernatora — Daragana — że niezbyt oddalonem jest od prawdy twierdzenie, iż Kalisz, „to zatęchła, zgnilizną przesiąknięta piwnica.“

I, co smutniejsza, miejscowe społeczeństwo tak już się zżyło z panującemi stosunkami, iż w swem zazdrości godnem krótkowidztwie nie dopatruje się i nie uczuwa duszącej atmosfery bagna. Toleruje się więc osobniki, które, jak n. p. mecenas Daniel Zawadzki, figurują na liście czynnych członków Czerwonego Krzyża, lub p. Żywanowska, odznaczona orderem za okazaną gorliwość w szyciu inieksprymabli dla żołnierzy, walczących za Świętą, Przestrzenną Matkę Ojczyznę w wojnie chińskiej 1900 r. W obecnej zawierusze pani ta jest ponoć najczynniejszą współpracowniczką Nataszy Nowosilcow (gubernatorowej) w niesieniu pomocy rannym braciom, walczącym na Dalekim Wschodzie. Nic więc dziwnego, iż wychowująca się w podobnych stosunkach młodzież nie może stworzyć przeciwważnej atmosfery górnego życia, nie jest w stanie wznosić się w nadniebne sfery, orlemi skrzydłami rozbijając pleniącą się ciemnotę i gnuśność. Żyje więc ona w przeważnej części tem życiem uczniowskiem, jakie jedynie w niewielu już prowincyonalnych miastach się utrzymało. Młodzież kaliska jest ogólnie

biorąc sympatyczną, jedyną w organizowaniu towarzyskiego życia, różnego rodzaju zabaw i przyjemności. Można wśród nich mile i serdecznie spędzić chwile osamotnienia, płynąc łódkami przy akompaniamencie śpiewu, lub uczestnicząc w rozrywkach, surowo przez władzę zabronionych. Niema wśród nich, z małemi jedynie wyjątkami, ludzi, którzyby świadomie wyłamywali się z pod praw koleżeńskiego życia na korzyść zapewnionych przez faworyzującą władzę łask i opieki, niema też nałogowych, krzyczących nadużyć — pijaństwa, rozpusty, — choć tego rodzaju przyjemności nie są również dla nas nowością z księżyca. Młodzież kaliska, to stojąca woda, pozbawiona burzliwego naporu fal, dodatnich, czy ujemnych wstrząśnień, świadczących o jej życiu i nieokiełznanej młodzieńczości. Nie — my mamy nałożone kagańce uległości i milczenia i choć oburzamy się na krzyczące bezprawia władz, lecz z właściwą szanującej się młodzi godnością. Niedawno, bo przed rokiem, zdarzył się fakt, nad którym przeszło się najspokojniej do porządku dziennego. Jeden z kolegów został skazany na dwunastogodzinny karcer. Brat uwięzionego, wykonując zlecenie rodziców, prosił dyrektora o pozwolenie zjedzenia więźniowi obiadu. „Gromowierżec" odmówił. Przecież i zbrodniarze otrzymują jadło w swych celach więziennych" — zauważył w odpowiedzi interpelujący. Za „dierzost'" wyż wspomniany kolega został usuniętym z gimnazyum.

Stałym policzkiem młodzieży tutejszej jest działalność jejednego z członków Ciała pedagogicznego filologicznego gimnazyum. Pan ten — to znany w mieście „diejatiel" — nauczyciel języka i literatury rosyjskiej, Michał, syn Iwana Aleksandrowskij. Będąc wszechstronnie wykwalifikowanym, obejmuje on od szkolnego nowego roku wykład języka greckiego w klasie 8-mej, a to dlatego, by rozciągnąć baczniejszą opiekę nad powierzonymi swej pieczy elewami.

Otóż ten pan Aleksandrowskij jest wytrwałym bojownikiem świętych swych haseł; nie zważa on na żadne stawiane mu przeszkody ze strony „miatieżnawo sbroda" w postaci policzka, który otrzymał od wdzięcznego wychowańcy. Zakrwawiło się wzniosłe serce rosyjskiego pedagoga na tę, zbyt oczywistą czarną niewdzięczność, lecz nie zdołało przerwać raz już rozpoczętej pracy; w myśl więc zasady — kto na ciebie kamieniem ty na niego chlebem, przyjął to szanowny pedagog z podziwu godną uległością i poddaniem się, myśląc zapewne, że na tak świętym posterunku

trzeba wznieść się ponad przestarzały przesąd, że ręka wroga nie plami. Lecz przyznać trzeba, iż Aleksandrowskij jest obdarzony zmysłem organizacyjnym w wysokim nawet stopniu. Chcąc wykorzystać każdą wolną chwilę uczniów, w wielkiej swej pieczołowitości o umysłowy ich rozwój urządził on t. zw. „prenju“ (dysputy) na których, wraz z zaproszonymi członkami Rady pedagogicznej rozstrzygał tak niezawodne problematy — „czy Dierżawny był poetą“ — lub inne interesujące zagadnienia społeczno-literackiego życia „Rassyi - Matuszki.“

Oczywiście, iż swobodne wypowiadanie się uczestników pociągnęłoby za sobą wiele nieprzyjemności. Na szczęście koledzy prędko spostrzegli lisie pazury troskliwego wychowawcy i nad podziw solidarnie usunęli się od uczestnictwa w nowym rusyfikacyjnem matactwie. Dali tem oczywisty dowód, iż zdolni są do solidarnego wystąpienia w kwestyi ogólniejszego znaczenia i przekonali się, że nie są bezsilni wobec coraz to nowych pomysłów władzy.

W gimnazyum realnem znajduje się człowiek tego samego pokroju, co i wyżej opisany Aleksandrowskij, nauczyciel języka rosyjskiego — Torskij (obecnie przeniesiony do Białej), w którym niewiadomo co więcej podziwiać: posuniętą do ostatecznych granic brutalną bezczelność, czy bezdenną, konkursową głupotę. Na każdym kroku pozwala sobie ten żołdak moskiewski na bezecne drwiny z polskości, na każenie polskiej mowy i zohydzanie, zwłaszcza w oczach młodszych kolegów, wszystkiego co polskie. Gdy w przeszłym roku kilku, smutnej pamięci, kolegów publicznie upiło się i na ulicach zrobili skandal, ów pan Torskij był najzawziętszym ich obrońcą, motywując ich niewinność tem, iż oni przecież upili się — „russkoj wodkoj“. Dwaj ci kierownicy wychowania polskiej młodzieży Aleksandrowskij i Torskij — stanowią ciekawy przyczynek do dziejów szkolnictwa rosyjskiego w Polsce. Są oni typem służalczych czynowników, wzajemnym dopełnieniem się i stanowią razem wziąwszy harmonijną całość.

Fałsz, obłuda, kłamstwa i wszelkiego rodzaju zaprzeczenie ludzkiego dostojeństwa jest bożyszczem tych zdeprawowanych pedagogów, jest siłą kierowniczą ich carosławnego postępowania. Każdy ich czyn to ślina na obliczu młodzieży, to pohańbienie jej godności, wyzucie z najszlachetniejszych, świętych zasad; tolerowanie ich — to podłość, hańba i najcięższa zbrodnia na narodowem sumieniu Polski.

Z pośród innych pedagogów zwraca na siebie uwagę dyplomata - inspektor gimnazyum filologicznego Silin, który z zimną krwią wykłada, iż Rosya wcale nie uczestniczyła w rozbiorach Polski, że ona jedynie odebrała dawne swoje dzielnice. Warto również przypomnieć na tem miejscu jednej z nauczycielek gimnazyum żeńskiego, że jeśli kto wyzbył się uczuć Polski, temu nie wolno tem samem zabierać się do wstrętnej rusyfikacyjnej pracy. Nauczycielka języka polskiego wielkie ma obowiązki, których jej lekceważyć nie wolno, a manifestowanie carosławnych uczuć i terroryzowanie swych pupilek na stancyi jest rzeczą, publicznego potępienia godną. O tem warto pamiętać! Wiele, bardzo wiele jest do zanotowania faktów z życia i działalności pedagogów naszych, jak np. uroczyste poświęcenie gmachu szkoły realnej: po skończeniu uczty o godz. 8 rano władza wyprowadziła nieprzytomnego kuratora warsz. okręgu naukowego, Schwartz'a do karety na pociąg, pozostali zaś miejscowi nauczyciele nie byli w stanie dnia tego spełniać swych czynności wprost dlatego, iż większość jak Torskij, leżała pod schodami nieprzytomna. Dnia tego, z rozporządzenia kuratora, uczniowie byli zwolnieni od lekcyi. Bez komentarzy.

I w ręce takich ludzi jest złożone wychowanie przyszłych pokoleń narodu! Cóż oni dać mogą, co wpoić, czego nauczyć! To też śmieszą ich wygórowane żądania przy tem elementarnem nauczaniu, jakie dają. Uposażenie naukowe, zwłaszcza gimnazyum, jest wprost krzyczące. Gabinet fizyczny, jest to zbiór do niczego nieprzydatnych śmieci, popsutych przyrządów, a lekcye t. zw. doświadczeń fizycznych są tylko informowaniem uczniów, jakby się to zrobiło, gdyby można było..... Takie zaniedbywanie przedmiotu, który jedynie mógłby przynieść jakąśkolwiek korzyść uczącym się, redukuje pożytek szkoły rosyjskiej do zera i osłabia chęci do studyów przyrodniczych. Pośród uczącej się młodzieży niewielu jest takich, którzyby mogli się zajmować tym przedmiotem w domu, gdyż to pociąga za sobą znaczne koszta, jak zakup odpowiednich przyrządów, maszyn i t. p. a na to środki większości kolegów nie pozwalają. Ulegając prześladowaniom ze strony swej władzy „biali“ i „czarni“ porzucili dawny antagonizm i łączą się w poczuciu wspólnej niedoli. Starają się oni jednoczyć przeciw zakusom swych wychowawców i we wzajemnem pocieszaniu się szukać otuchy do zwalczania stawianych im coraz to nowych przeszkód. Podobne współżycie może tylko owocne korzyści na przyszłość

przynieść. Do tego winni koledzy starsi młodszych swych braci zachęcać, rozwijając wśród nich poczucie odrębności plemiennej i niosąc uświadomienie. W dość już długim śnie spoczywał uroczy nasz gród nad Prosną, odciętym będąc od świata i cywilizacyi. Przyszedł czas, że obudziliśmy się i przecieramy oczy z zadziwienia — „przecież to już dzień“. — Nas nie zwalczy polityka Aleksandrowskich i Torskich, nie zwalczą nas objawy moskalofilstwa wśród własnych szeregów, wśród duchownych naszych przewodników-prefektów, objawy służalstwa i uległości podłej, bo niewolniczej. Będziemy silni tą wiarą, która wszystkich, prawdziwie wielkich czynów jest rodzicielką, nadzieją szczytną, że skończą się dni żałoby, smutku i niewoli i gorącą miłością wszystkiego, co dobre, piękne, szlachetne i nasze! *Wasz.*

Z nowych wydawnictw.

Prof. dr. Inazo Nitobé. — *Bushido: dusza Japonii.* (*Lwów, wydawnictwo „Wiedza i życie“ t. III. serya III. 1904. IV-to stron 117, cena 1 kor. 20 hal.*).

A więc „dusza Japonii“ miałaby być szlacheckiego pochodzenia! Jest to bądź co bądź ciekawem dla nas ze względu na to, że i „dusza Polski“ — t. j. szkielet poglądów życiowych i etycznych w Polsce ma podobno pochodzić również z ducha szlacheckiego.

Prof. dr. Nitobé twierdzi, że „Bushido“ — droga rycerzy“ jest wytworem dwumilionowej warstwy samurajów — t. j. szlachty. Charakterystyka samurajów przypomina bardzo żywo naszą szlachtę, lecz odrazu na pierwszy rzut oka znajdziemy w niej zasadnicze różnice: wierność względem panującego, brak indywidualności — zkądinąd to przecie szlachta polska: zwłaszcza stanowisko społeczne ogromnie podobne.

Cóż stanowi istotę owego „Bushido“? Cały szereg cnót: prawość, sprawiedliwość, prawdomówność, poczucie honoru, obowiązek wierności, stoicyzm życiowy, i rycerska instytucya samobójstwa dla uratowania czci.

Ale „Bushido“ było wynikiem innego ustroju: dziś działa ono jako tradycya, jutro musi zaniknąć w swej postaci i przyłączyć się całkowicie do nowopowstających systemów etycznych. Pozostanie po nim tylko kilka zasadniczych rysów charakteru japońskiego: uprzejmość w obejściu i patryotyzm ofiarny.

Nie należy sądzić, aby z omawianej książki można było istotnie poznać „duszę Japonii“, jest to zbyt skomplikowana dla europejczyka sprawa; ale z książki tej sprostuje się wiele zbyt egzotycznych

poglądów i nabierze chęci do poznania wytworów cywilizacyi japońskiej, jako bynajmniej nie gorszej niż europejska. Zwłaszcza zaciekawi nas filozofia życia i poglądy społeczno-polityczne tego dalekiego narodu. Oczywiście podobieństwo samurajów do szlachty jest też bardzo dalekiem i nie konkretnem, ale zachodzi podobieństwo stanowiska w życiu narodu, co tutaj rozstrzyga. *w. m. b,*

Anatol France. *Wybór pism. I. pisma krytyczne Lwów — Polskie tow. nakładowe 1904 (str. VIII. — 237. cena ?).* Tłómaczył Jan Sten.

Krytyka Anatola France'a w niczem nie jest podobna do nudnych recenzyj dziennikarskich, lub jeszcze nudniejszych traktatów mieszczących się w „poważnych" kompendyach, lub „fachowych" czasopismach. Jest to krytyka którą on sam określił słowami: „jest ona (krytyka) najwłaściwszą sztuką dla ludzkości badawczej, mądrej i ogładzonej. — Dobry krytyk opowiada przygody swej duszy, błądzącej wśród arcydzieł". Dusza zaś France'a jest niezwykle rozumna, czuła i wszechstronna. Opowiada on jej przygody wobec arcydzieł indywidualnych, wobec kierunków i przyzwyczajeń dnia dzisiejszego, w obec wielkich z dni minionych. Jest on pełen łagodnej mądrości życiowej — jest on sam smutnym sceptykiem — pełen jest pobożnego smutku — bo posiadł wiedzę życia — a wiedza to smutek, a życie dobre jest umiejętnością cierpienia — bo cierpienie jest kamieniem węgielnym życia. — Takie to niewesołe myśli, ale pogodne, jasne jak dzień wrześniowy snują się przez całą książkę.

Zawarte w niej artykuły możnaby podziedlić na grupy: jedną traktującą o współczesnych poetach — więc o Ludwice Aekerman, Flaubercie, Barbey d'Aureville'u, Verlainie i Baudelaire, — zawsze jest pełen dla nich pogodnej przyjaźni: pani Aekerman wydaje mu się ateistyczną świętą, u Flauberta znajduje tęgość normańską i „porządny zamęt", Baudelaira uważa za „obrzydliwego (w słowach) człowieka — a boskiego poetę" i t. d.

Druga grupa obejmuje sądy o postaciach historycznych które uderzyły umysł krytyka, z powodu książek o nich wydanych. I tutaj nie znajdziesz potępienia — owszem zawsze kończy się na łagodnem rozgrzeszeniu. Świetne postacie Kleopatry i Cezara Borgia, Mithridatesa i Juliana Apostaty, — wreszcie Bismarka i Maryi Ludwiki znajdują łaskawy sąd w ustach dobrego, a smutnego pisarza; sąd bardzo słuszny, gdyby te osoby sądzić jedynie jako osoby prywatne po za obowiązkami publicznemi.

Trzecia grupa charakteryzuje prądy nurtujące życie współczesne w zakresie ujawniającym się w literaturze pięknej. Czemu nam smutno? to jest wielkie pytanie życia współczesnego. Ale smutno nam być musi: świadczy o tem krzewienie się mistycyzmu i sceptycyzmu tak niby różnych, a tak podobnych.

Czytelnika polskiego książka ta zachęci naprawdę do zapoznania się z literaturą francuską, niesłusznie chyba odsądzoną w naszej opinii dzisiejszej od wartości i żywego piękna. *w. m. b.*

Henryk Mościcki. — *Z powodu jubileuszu towarzystwa Historyi i starożytności rosyjskich w Moskwie. 1804—1904. Lwów, Gubrynowicz i Schmidt 1904.*

Moskiewskie Towarzystwo Historyi i starożytności świetnie sekunduje w swych pracach innemu bardziej u nas znanemu Towarzystwu słowiańskiemu dobroczynności i inicyatorom Zjazdu petersburskiego. Istotnem hasłem pracy tego Towarzystwa jest zdanie Katarzyny II: „z Polakami nic niema w ogóle zbawienniejszego, jak ich bić!“ — Tej myśli hołdują naukowe prace Towarzystwa. Najwięcej zasłużonym współpracownikiem Towarzystwa i jego duszą przez długi czas był p. Suszkow eks-gubernator Miński — osobisty przyjaciel i apologeta Siemaszki. — Prace Towarzystwa zawierają cały szereg projektów antypolskich, wobec których wszelkie pomysły pruskiego szowinizmu są dziecięcą żartobliwością; przypominają one dość silnie pomysły nieco dawniejsze: plany Iwana Groźnego i innych tyranów wschodu.

Nie mogę przytaczać tutaj jaskrawszych cytat z broszury p. Mościckiego, — ale chyba bez tego każdy zrozumie czem jest właściwie to Towarzystwo. Niedawno przecie wydział filozoficzny wszechnicy lwowskiej posłał serdeczne gratulacye z powodu jubileuszu tak zasłużonego Towarzystwa.

Niedawno też paru wybitniejszych przedstawicieli nauki polskiej we Lwowie przyjęło tytuł członka honorowego Towarzystwa. — W obec niedawnych zajść z powodu projektowanego zjazdu Petersburskiego, wobec przyjęcia owych 200 rubli przez „regimentarza“ polityki polskiej, — w obec tylu innych objawów politycznego tchórzostwa ze strony polityków, braku dumy narodowej lub naiwności politycznej (co kto woli!) ze strony uczonych — prawdziwie pożądaną jest rzeczą, aby ci sędziwi „kierownicy z epoki popowstaniowej zostali już pozbawieni wszelkiego prawa reprezentacyi instytucyi polskich. Do tego potrzeba zaś tylko upomnienia się o swe prawa ludzi młodszych, a i bez „rewolucyi“ się obejdzie. *w. m. b.*

Stosunki kościelne na Litwie. Listy otwarte księdza do księży. Monachium 1905. — Nakładem Jana Zawadzkiego. (str. 104). — Wydanie II-gie. — Książka niniejsza jaskrawo wykazuje zło panujące wśród kleru katolickiego na Litwie. Oto szereg jego objawów: służalcza polityka biskupów względem administracyi rosyjskiej, — nieuzasadniona idea nawracania Rosyi na katolicyzm, świadome ogłupianie alumnów w seminaryach, duch ślepego posłuszeństwa względem wszelkiej władzy, zapoznanie polskości jako największego czynnika katolicyzmu w krajach zabranych, złudzenia ugodowe, zaniechanie walki o prawa kościoła. itd. itd. — Możnaby wyliczyć cały długi szereg grzechów społecznych i politycznych. Ale są i indywidualne: skąpstwo, chciwość, brud i rozpusta, szerzenie fałszywej dewocyi w celach osobistego zysku i tak dalej.

Księży litewskich cechuje wybitny obskurantyzm pod każdym względem — zwłaszcza w zakresie znajomości nauk t. zw. świeckich: Kilka zasadniczych błędów narodowo-politycznych płynie z „systemu“:

błędne traktowanie szkół ludowych — księża nauczają po rosyjsku katolicyzmu, zamiast usunąć się od tej rusyfikacyjnej działalności. Episkopat rozmyślnie poniewiera dążeniami i potrzebami narodowemi Litwinów i wprowadza w ten sposób coraz głębszą niechęć do polskości, reprezentowanej przez jedyną polską władzę; przez biskupa.

Innym błędem episkopatu jest systematyczne podcinanie skrzydeł młodym księżom, którzy by czemkolwiek żywiej się zajęli.

Nie bez winy jest też i całe społeczeństwo: kto chce w księdzu widzieć tylko partnera „na czwartego“ do wista, ten go ma takim, jakim jest; gdyby zaś społeczeństwo zażądało odeń czegoś jeszcze innego — musiałby on zastosować się do tych wyższych wymagań. Trzeba więc księdza wciągnąć w zakres pracy społecznej i żądać od niego wiele, nawet więcej niż od świeckiego inteligenta.

Książka pisana jest żywo i zajmująco — zawiera szereg ciekawych i poważnych informacyj, chociaż nie nowych.

Przegląd czasopism.

(*Lud, ojczyzna i ludzkość. — Dwa patryotyzmy. — O interpretacyi odezw japońskich.*

Ośmieleni niezwykłą powściągliwością ostatniego (8—9) zeszytu *Promienia*, w którym do zaczepek insynuacyj gimnazyalnych korespondentów nie dodała redakcya pod naszym adresem osobistej własnej kompozycyi, w którym nie obdarzono nas żadnem wyzwiskiem, ważymy się mimo wiele przykrych doświadczeń na omówienie niektórych artykułów tego pisma. Zaczynamy od rzeczy najciekawszej, od rozpoczętej ankiety w tymsamym przedmiocie, o którym traktowała omawiana w *Tece* ankieta *Revue* paryskiej, w przedmiocie wzajemnego stosunku dwu rodzajów uczuć: względem ojczyzny i ludzkości. Taki wywiad jest dla młodzieży socyalistycznej bardzo na czasie. „Sprzeczne uczucia szarpią nami“ — wyznaje szczerze redakcya *Promienia* — i ślady tej „szarpaniny“ znać w jego sześciu rocznikach. Obecnie zaczyna przemagać jedno z uczuć „sprzecznych“, a w ślad zatem idzie otwarte niezadowolenie niektórych dotychczasowych adherentów pisma, które chciało być wspólnym organem radykalnych patryotów i pospolitych internacyonałów.

Dotąd nadesłało odpowiedzi dwoje znakomitych powieściopisarzy: Eliza Orzeszkowa i Wacław Sieroszewski (oczywiście nie Sieroczewski, jak się wymknęło *Promieniowi*. Na pierwsze pytanie „czy postęp dziejowy zamierza (chyba zmierza — Przyp. spraw.) do zatarcia, czy do uwydatnienia indywidualności narodowych?“ — dają oboje odpowiedź równie jasną, jak stanowczą, że „postęp dziejowy rozszerza plany widzenia narodów, rozmnaża struny ich wrażliwości, a przez to p o g ł ę b i a zachodzące pomiędzy niemi r ó ż n i c e i czyni w nich uczucie

odrębności indywidualnej silniej odczuwanem, jaśniej rozumianem, więc natarczywszem;“ (Orzeszkowa) — że narodowość jest obecnie najwyższym wyrazem uspołecznienia“, że „jest tworzywem największej duchowej tężyzny każdej osobowości, najbardziej wyczulonych drgnień każdej duszy“. (Sieroszewski).

Inne zagadnienia ankiety są rozwiązane równie stanowczo u Orzeszkowej, jak mglisto owinięte przez Sieroszewskiego. Ustęp o stosunku interesu ludu do interesu narodowego jest jaskrawem zaprzeczeniem temu wszystkiemu, co *Promień* wpajał dotąd w swych adherentów. Przytaczamy go w obszernem skróceniu:

„Zasadniczej różnicy pomiędzy interesem narodu, a interesem ludu być nie może, bo lud jest częścią narodu i świadomie lub nieświadomie z przyczynieniem się lub bez przyczynienia podzielać musi złe czy dobre losy narodu. Ilekroć masy ludowe znajdują się na stopniu uczłowieczenia zbyt nizkim, interes narodu nie istnieje na widnokręgu ich widzenia i staje się im obcym. Staje się to w wypadkach następujących: Ilekroć dbałość o fizyczny czyli ekonomiczny interes ludowy gasi dbałość o idealne interesy narodu; ilekroć interes ludu jest pojęty nie jako całość zbiorowego interesu narodowego, ale jako dążność wyosobniona i czyniąca wstręty dążnościom narodu umysłowym, twórczym, politycznym i wogóle kulturalnym i duchowym; ilekoć w imię interesu ludowego naród rozcząstkowany zostaje na grupy wzajemnie sobie przeszkadzające w pracy, bo pracujące we wzajemnej ku sobie podejrzliwości i niechęci; ilekroć zbiorowa dusza mas ludowych *jest powstrzymywana w swym rozwoju i sumienie ich przytępianem przez wlewaną w nię naukę nienawiści, zawiści, krwi i zniszczenia.*

Trudno o dowodniejsze określenie stanowiska rewolucyonistów społecznych, owych fanatyków „walki klas“, dla których może istnieć wybór między narodem a ludem, którzy nie baczą, jaką krzywdę wyrządzają ludowi swemi niby — skrajnie „ludowemi“ hasłami, traktując chłopa czy robotnika jako istoty stojące „na stopniu uczłowieczenia zbyt nizkim“, niezdolne do przejęcia się najwyższymi dobrami narodu. Tylko barbarzyńskie pojmowanie interesów ludu może zachowywać się wrogo wobec interesów narodu, jako całości, dlatego społecznicy radykalnego autoramentu są, o ile postępują konsekwentnie, istotnymi wrogami politycznych i kulturalnych dążeń ludu, jako obywateli narodu.

Zgodnie z powyższemi myślami zaprzecza Orzeszkowa utopii o „międzynarodowej solidarności proletaryatu“.

„Gdyby jedynym interesem mas ludowych było nasycenie głodu, interes ten byłby zawsze i wszędzie jednostajny. Lecz znieważają dostojność ludu ci, którzy potrzeby

jego w tym pierwiastkowym wyrazie zamykają".

Następuje odpowiedź na trzecie pytanie: „czy uczucia miłości ojczyzny i miłości wszechludzkiej muszą się zwalczać lub ograniczać nawzajem?" — Orzeszkowa wychodzi z ewangelicznego pojmowania miłości, za które nawet odnośnie do ojczyzny redakcya *Promienia* już wychodzi. Z tego stanowiska występuje nie tylko przeciw krzykliwemu szowinizmowi, przeciw pogardliwemu wyrażaniu się o narodach innych i próżnemu „zgrzytaniu zębami i rozmachiwaniu ramionami", z czem trudno się nie zgodzić, ale przeciw wszelkiemu czynnikowi nienawiści w patryotyźmie:

> „Nie jest kochaniem ojczyzny nienawidzenie narodów innych, nie jest niem nawet nienawidzenie jej wrogów, przeciwnie: im więcej organizacya człowieka podobna jest nienawidzeniu, tem mniejszą musi być zdolność jej do kochania".

Patryotyzm autorki „Nad Niemnem" ukształtował się jeszcze wtedy, gdy go nie wolno było wydobyć z głębi duszy na próby życia, gdy wszelką nienawiść, której od obcych tak wrogo doświadczamy, uznało słabe i wycieńczone wówczas społeczeństwo polskie za uczucie z istoty swej występne wbrew wszystkim, którzy dziś nie rozumieją żywej miłości bez równie gorącej nienawiści dla złego, dla wrogów tego. co jest przedmiotem naszego ukochania. Autorka spodziewa się najwięcej dla ojczyzny od nastania królestwa Bożego na ziemi, wyczekuje najgoręcej, by krzywdziciele ojczyzny „dosięgli jaknajrychlej tego stopnia uczłowieczenia, na którym deptanie człowieka przez człowieka i narodu przez naród stanie się niepodobnem" — wbrew wszystkim, nie przewidującym możliwości cudów na tej ziemi, którzy cieszą się przedewszystkiem osłabnięciem naszych wrogów, a najgoręcej życzyliby im takiego stanu, w którymby wykonywanie wszelkich objawów życia było dla nich jak najbardziej utrudnione, którzy walczą z krzywdzicielami ojczyzny naszej nietylko dlatego, ponieważ są to przedstawiciele zła, a ojczyzna nasza w walce tej przedstawia dobro, ale przedewszystkiem dlatego, że to jest ojczyzna nasza!

Tu tkwi zasadnicza różnica między szczerem współczuciem dla uciśnionego Dobra w odróżnieniu od żywiołowego ukochania dla milionów żywego narodu, rozsiadłych między dwoma morzami, dla ich interesów politycznych, kulturalnych i gospodarczych, tem różni się od cmentarnej czułostkowości dążenie do zdobycia form politycznych, koniecznych dla zabezpieczenia swobodnego rozwoju, słowem do odbudowania wolnej Rzplitej bez względu na to, czy wrogowie nasi będą uważali to za swoją krzywdę.

Dziwnym tworem przyrody byłby syn, który, widząc matkę krzywdzoną żywiłby dla niej w głębi serca bardzo czułą miłość i wyglądał spokojnie chwili opamiętania dla jej krzywdzicieli, równie mizernem uczuciem wydaje mi sie taki patryotyzm łzawy bez zębów i pięści. To nie jest miłość, ale l i t o ś ć, którą ewangelia Chrystusowa nakazuje żywić dla nędzarzy, płaczących, dla wszelkich łazarzy ciała i ducha.

Wreszcie, patryotyzm jest dla Orzeszkowej cenny przedewszystkiem

jako „jedyna dla większości ludzi możność fragmentarycznego posiadania — miłości wszechludzkiej“, jako i prowadząca do niej droga i szkoła“. Stąd pobłażliwość dla tych zbyt powoli rozwijających się, co tej rozlewnej miłości ogarnąć nie potrafią, ani się wznieść z „ograniczności“ (tak!) w „bezgraniczność“, byle tylko nie opierali się „oczyszczaniu (patryotyzmu) z naleciałości ludzkich“.

Kiedy pod wpływem kierunku pozytywistycznego kształtowały się poglądy autorki „Meira Erofowicza“, nie była objęta miłość ojczyzny ówczesnym „postępowym“ inwentarzem, o ile nie kładziono jej otwarcie na indeksie, z czasem utorowała sobie drogę do serc i opanowała jednych przebojem, jako wskaźnik każdego powszedniego kroku życia społecznego, jak istota żywa i pragnąca ciągłych pozytywnych ofiar, innych przenikła niepostrzeżenie i skromnie rozsiadła na ołtarzu serca, zadawalniając się kadzidłem świątecznem. I tak patryotyzm pozytywistki Elizy Orzeszkowej ostał się w sferach niebiańskich.

*

* *

Nie omawiamy szczegółowo rozpoczętego artykułu pn. „Co robić?“ który, jak na „myśli programowe“, zbyt wiele ujawnia romantyzmu politycznego, lecz jeszcze więcej zacnej tendencyi. Szkoda, że zwrócony pod niewłaściwym adresem, bo do przeprowadzenia tych żądań trzeba przedewszystkiem posiadać wśród młodzieży poważną siłę.

W końcu krótkie wspomnienie o nowej i zupełnie już niestosownej roli *Promienia*, jako krytyka „dziecinnych uniesień“... Zarządu „Ogniwa“, powszechnego związku polskich towarzystw studenckich. Otóż postanowili koledzy socyaliści zaczepić o coś Ogniwo, a ponieważ nawet o pozór było bardzo trudno, a ochota ogromnie gorąca, więc napadli na jego ,,dokumenty dyplomatyczne“ w sposób, którym im samym najmniej przystoi. Wiadomo, jak właśnie naszym socyalistom zależało na rozgłoszeniu nienawiści tak społeczeństwa polskiego, jak młodzieży wobec Rosyi.

A przecież nie mogą uchodzić za poważną manifestacyę telegramy stałych gości kawiarni kryształowej, czy też bezimiennej ,,grupy studentów politechniki“, (którego to ostatniego wyparł się Wydział Bratniej Pomocy Politechn. bardzo skwapliwie, a nawet aż nazbyt skwapliwie i głośno), zatem potrzebne było oświadczenie naszych uczuć przez instytucyę najbardziej powołaną do występowania imieniem całej młodzieży. Pomijamy wyszarzały od nałogowego używania dowcip o ,,wyjałowieniu z szczątków rewolucyonizmu“, ale zato dosyć oryginalnie wygląda na szpaltach *Promienia* ubolewanie z powodu naszej radości z krwawych klęsk naszego wroga, dlatego że tam się leje krew niewinna. Szanowni rewolucyoniści, którzyście wyarendowali wszystkie pięknie barwiące ideje, którzy już bez zarumienienia głosicie się za jedynych szermierzy postępu i etyki, którzy wobec gimnazyastów i pensyonarek, a w chwilach śmiałości nawet „coram publico“ podajecie się za dzierżycieli prawdziwego patryotyzmu i demokratyzmu, którzy, niesyci zapisaniem Adama Mickiewicza do partyi, rozciągacie monopol na jego

ideały, powściągnijcie waszą zachłanność i nie świećcie dalej gromnic Bogu i dyabłu zarazem. Najhałaśliwiej cieszy się z krwawych klęsk rosyjskich polska prasa socyalistyczna, nie tak dawno wy sami objawialiście wraz z nami swą entuzyastyczną radość z powodu niepewnej wieści o wzięciu Portu Artura, nie rozpaczając nad możliwem wykłuciem bagnetami oblężonych żołnierzy nietylko z gubernii rosyjskich, coby jeszcze było najmniej tragiczne, ale i z ziem Rzplitej Polskiej. Czy to była również „niesmaczna" manifestacya? Z drugiej strony w niektórych głowach, np. wśród niektórych polskich socyalistów w Moskwie ulągło się przekonanie, że n i e s ł y c h a n ą jest rzeczą uchodzić z placu boju i w ten sposób opuszczać wiarołomnie w najcięższej chwili swych towarzyszy broni rosyjskich. Jestto skrupuł równie poważny, jak ten, który kazał młodzieży socyalistycznej przeć do udziału w rozruchach studenckich rosyjskich — w imię s o l i d a r n o ś c i k o l e ż e ń s k i e j. Trzeba więc koniecznie wybrać: Albo nienawidzieć Rosyę, cieszyć się z każdej jej klęski, lub podzielać skrupuły etyczne całkowicie lub przeważnie zmoskwiczonych dusz, które wraz z tym nabytkiem przejęły barbarzyński sposób myślenia.

Albo się pozuje na sensata, albo rozszerza chłopięce odezwy i rozpowiada dziwy o gotowych dynamitach i karabinach. Jedno i drugie skojarzyć się nie da, jeśli wykluczymy czynnik obłudy.

Kto chce utrzymać przy sobie wzajemnie odpychające się hasła, podobny jest do tej figury pokazywanej często w komedyi, a jeszcze częściej w farsie i operetce, co, nabrawszy chciwie przeróżnych przedmiotów, plącze się, utyka, wykonując śmieszne podrygi ku ogromnej uciesze widzów.

* *
*

Promieniowi na ogół nie wiedzie się układanie i omawianie odezw. Ktoby np. znał odezwę rządu japońskiego do żołnierzy armii rosyjskiej jedynie z jego interpretacyi, mógłby przypuścić, że to tow. Katayamie polecono ułożenie tego manifestu, jako rzeczoznawcy od międzynarodowego braterstwa. Treścią odezwy jest wezwanie do poddania się, do zdrady sztandarów, tymczasem w streszczeniu *Promienia* wygląda państwo wschodzącego słońca jak anioł pokoju, wracający prosto z hagskiej konwencyi mocarstw lub z amsterdamskiego zjazdu socyalistow.

Wiadomości bieżące.

Uroczystość Mickiewiczowska we Lwowie. 30 października byliśmy świadkami doniosłej manifestacyi narodowej; oto pod pomnikiem nieśmiertelnego wieszcza Adama, stanął łamiąc kordony cały naród polskj, by złożyć hołd Temu, który w dniach strasznego zwątpienia chwycił chwiejący się standar wiary w nasz przyszły byt polityczny i wzbił myśl polską na wyżyny, jakich przedtem nigdy nie osiągnęła.

Pod kolumną wieszcza przemawiał dość długi szereg mowców; bezsprzecznie jednak najlepiej, uczucia, jakie się w nas budzą w chwili obecnej, określił p. Hudec (przemowa ta — oprócz innych względów dała asumpt p. Feldmanowi do stwierdzenia w *Krytyce*, że „przeważająca większość socyalistów galicyjskich, oraz zarząd cały — to partya wszechpolska w pełnem tego słowa znaczeniu“). Imieniem młodzieży wbrew dotychczasowemu zwyczajowi (że całą polską młodzież akademicką we Lwowie reprezentuje przewodniczący „Czytelni akademickiej“), skutkiem niebywałego nacisku ze strony prezesa komitetu i dzięki użyciu przez kolegów „postępowców“ środków praktykowanych przy „wyborach galicyjskich“, przemówił „wybrany“ przez komitet młodzieży, kol. St. Downarowicz. Jakkolwiek powstałe z tego powodu w nas uczucia nie mogły należeć do zbyt przyjemnych, to jednak — w imię powagi chwili i tej zasady, że dobru powszechnemu należy podporządkować osobiste względy — potrafiliśmy je tak przytłumić, że uroczystości żadnym nie zamącono zgrzytem. Pełnej satysfakcyi udzielił nam zato ogólno-akademicki wiec polskiej młodzieży, o czem poniżej zamieszczamy wiadomość.

Kulminacyjnym punktem manifestacyi był wprost olbrzymi, bo kilkunastotysięczny pochód sokolstwa, młodzieży akademickiej i szkół średnich; dreszcz entuzyazmu przebiegł przez tłumy i wybuchła prawdziwa burza oklasków, gdy między kilkuset składanymi Wieszczowi w dani wieńcami, ukazał się od Litwy i ziemi nowogrodzkiej, tudzież od polskiej uniwersyteckiej i politechnicznej młodzieży narodowej w Warszawie.

Z uroczystości Mickiewiczowskiej wynieśliśmy prócz podniosłego nastroju także i to uczucie, że ideowy nasz z Wieszczem Adamem związek silniej się zacieśnił i że tych skarbów ducha, jakie on nam pozostawił, nie damy sobie wydrzeć nikomu.

W sprawie spolszczenia gimnazyum brodzkiego. Społeczeństwo polskie w Galicyi tak już się oswoiło z systematyczną germanizacyą ducha i uwierzyło w końcu w zbożne jej skutki, że istnienie niemieckiego gimnazyum w Brodach uważa za potrzebne dla przyszłej karyery urzędniczej.

Na tę anomalię długoletniej obojętności zwróciło pierwsze uwagę nasze pismo, które poddało wyczerpującemu rozbiorowi szkody i korzyści, jakie dają te zakłady społeczeństwu. Wynikiem tego była podjęta przez byłych uczniów gimnazyum brodzkiego w sprawie spolszczenia tego zakładu ankieta. Dnia 29 sierpnia br. odbył się w Brodach wiec ogólno-akademicki w tej sprawie. W referacie przedstawił kol. Laszkiewicz, jakie szkody pod względem narodowym i społecznym przynosi owo gimnazyum, wreszcie jego nieracyonalność pod względem pedagogicznym, zwróciwszy przy tem uwagę na to, jak wielkie znaczenie będzie miało gimnazyum polskie, leżące nad samą granicą, dla wychowania młodzieży zakordonowej na Wołyniu, rusyfikowanej w gimnazyach rosyjskich. Po długiej i wyczerpującej dyskusyi uchwalono rezolucyę, postawioną przez referenta — żądającą spolszczenia gimnazyum brodzkiego, odrzucając natomiast projekt ustanowienia paralelek ruskich.

Sprawą tą zajęło się dopiero teraz społeczeństwo polskie bardzo żywo i wszystkie pisma polskie w Galicyi i niektóre zakordonowe podkreśliły z wielką sympatyą i bardzo dobitnie znaczenie narodowe tej akcyi. W wykonaniu uchwał wiecowych wypracowało prezydyum wiecu memoryał, który wystosowano do posłów powiatu brodzkiego i sfer decydujących. Gmina miasta Brodów dała dowód wielkiej ofiarności, zrzekłszy się na rzecz rządu dla ostatecznego załatwienia sprawy należnych jej z funduszu szkolnego 76 tys. koron. Wreszcie Sejm przychylił się do życzenia gminy i uchwalił wezwanie do rządu, by zakładać stopniowo równoległe klasy polskie zamiast odpowiednich niemieckich — rehabilitując przynajmniej potrosze w ten sposób mocno w tej sesyi nadszarganą sławę komisyi szkolnej. (Nawiasem musimy zauważyć, że dziwnym przypadkiem nie postanowiono terminu, kiedy rozpocznie się spolszczanie gimnazyum).

O hasła powstańcze. Otrzymaliśmy następujący list. Lwów 11 listopada. Szanowni Koledzy! Na wczorajszym wiecu ogólno-akademickim polskim powiedziałem, że koledzy narodowi demokraci wnieśli w życie naszej młodzieży a b n e g a c y ę z h a s e ł p o w s t a ń c z y c h. Po namyśle przyszedłem do przekonania, że słowa te, słuszne w odniesieniu do s t r o n n i c t w a demokratyczno-narodowego (program z 1903 r.) — w odniesieniu do młodzieży „wszechpolskiej" we Lwowie były jednak niesprawiedliwe i krzywdzące. Za powinność swą uważam krzywdę tę naprawić, a sądzę, że najlepszym tu środkiem będzie zwrócenie się do Was z prośbą o zamieszczenie tego listu w Waszem piśmie. Nie mogłem być obecnym na wiecu aż do końca i nie słyszałem przemówienia kolegi Argasińskiego. Podobno wyzywał mnie on do zmierzenia się na polu społecznej pracy. Wyzwanie to z radością przyjmuję. Koleżeńskie pozdrowienia! *Maryan Kukiel.*

Do osnowy powyższego listu, który sam dostatecznie rzecz przedstawia, dodajemy z naszej strony jedynie wyrazy radości, że możemy zachować nadal naszą opinię o szczerości i dobrej woli kol. Kukiela, którąśmy powzięli od pierwszych jego występów w życiu studenckiem. Już obecnie zauważyliśmy wpływ nowych czynników w postępowaniu kolegów naszych z pod Czerwonego Sztandaru, w ich zewnętrznych pracach, stosunkach, publikacyach; życzymy „nowemu kursowi" zwycięstwa z całego serca, aby wrócił w całej pełni wzajemny szacunek i możność kulturalnego współżycia. Wyrażamy zarazem nadzieję, że po dłuższym namyśle zwątpi kol. K. o swem wyżej wyrażonem przekonaniu także odnośnie do stronnictwa D. N. *Redakcya.*

Nowe Towarzystwo socyalistyczne we Lwowie. Na gruzach „Wspólnej nauki", która samobójczą śmiercią zakończyła żywot, powstała socyalistyczna „Spójnia". Członków zebrała do 100, z pomiędzy „towarzyszy" z „Wspólnej nauki" i z uciekinierów od „Życia", którego życie marne, i kilka wybitniejszych jednostek obudzić go nie zdoła. (Nawiasem powiedziawszy, socyaliści ze „Spójni" z ogromnem lekceważeniem, z pogardą prawie, wyrażają się o ludowcach, ale ci popierają ich dalej z bohaterskiem zaparciem się; bo tytuł „postępowców" od socya-

listów łaskawie otrzymany, to nie błahostka, i wdzięczność zań jest aż nadto usprawiedliwiona).

„Zjednoczenie“, „Wspólna nauka“, „Spójnia“ — to na pozór trzy wydania tej samej, znanej, powieści; poza kronikarską wzmianką niby się „Spójni“ od nas nie należało.

A jednak zmiana nastąpiła i o niej słów kilka. Do statutu wstawiono słowo „p o l s k i e j młodzieży“, a za tą szatą zewnętrzną poszła i treść; ster ujęli w ręce ludzie o wyraźnych przekonaniach patryotycznych. Być może, że w szeregach ich poddanych zmiana ta zbudzi opozycyę (krakowski wiec abituryentów zaznaczył to), a i starsi „towarzysze“ „ze Wspólnej nauki“ zachowują się już teraz zimno wobec „Spójni“, bojąc się, „by sprawy narodowe nie odciągnęły socyalistów od ich właściwego celu“ tj. od pogłębiania nienawiści społecznej. Ale znaczenie zwrotu jest dość wielkie. Zbliża to młodych socyalistów do P. P. S. zaboru rosyjskiego, a oddala od partyi galicyjskiej.

W tej drugiej jest dużo żywiołów kosmopolitycznych. Trzeba pójść na prowincyę do Tarnowa, Buczacza, Rzeszowa, Sanoka itd. i nasłuchać się ciągłych, do znudzenia powtarzanych wynurzeń; „nas patryotyzm nie obchodzi“, „dbajmy tylko o żołądki“ — aby mieć o tem należyte pojęcie. Starcie na zjeździe socyalistycznym w Krakowie nie było zjawiskiem chwilowem i stanu tego nie zmienią poszczególne szczerze patryotyczne jednostki. Ludzi, którzy wstępują do p o l s k i e j partyi, a równocześnie oświadczają wyraźnie, że już nie pół-Polakami, ale zupełnie Polakami nie są, jest dużo, i to między kierownikami pracy, a i innych akademickich nie brak różnego rodzaju kosmopolitów.

My witamy z sympatyą to „zwyrodnienie“ na tem tle w duchu narodowym, w „Spójni“ dokonane, które może być ze skrytą nienawiścią przyjęte przez słońca socyalizmu galicyjskiego i ściągnie pewnie na siebie nazwę „socyalhakatyzmu“.

Młodzi socyaliści zabrali już dawno w monopol etykę, postęp i ideały Towarzystwa demokratycznego; obecnie po zawiązaniu „Spójni“, w kilku występach swoich, wzięli jeszcze w arendę ideały Mickiewicza. Na jakiej podstawie? Bo piszą dziecinne odezwy, skromnie uważają samych siebie za jedynych spadkobierców tradycyi powstańczej, a w chwilach dobrego humoru spostrzegają w narodowej-demokracyi „nowy zwrot“ ku rewolucyonizmowi.

Bóg z nimi! Niechaj nas nie oburza, ani nie śmieszy, bo poza łupiną bombastycznych i koniecznie zarozumiałych frazesów, kryje się zdrowe ziarno polskie, choć jego kiełek w nieodpowiednią nieraz zwraca się stronę. Mamy do czynienia z przeciwnikiem unarodowionym, kochającym ideę społeczną może fałszywą, ale wielką, a z takim i walka milsza i porozumienie możliwsze, niż z tymi, których jedynym ideałem ambicye osobiste, lub ciasny, chłopsko-galicyjski kąt widzenia.

Nowe szkoły w Warszawie. Magistrat Warszawy postanowił wnieść do budżetu na r. 1905 kredyt stały w sumie 22.118 rubli na otwarcie oraz utrzymanie czternastu nowych szkół ludowych początkowych dla ludności chrześcijańskiej, z których dwie mają być założone w Pradze, pozostałe zaś w Warszawie.

Nową szkołą techniczną średnią otwiera grono osób w Warszawie. Szkoła będzie miała na celu przygotowanie praktyczne techników. Kurs szkoły składa się z dwóch klas przygotowawczych ogólnie kształcących i trzech specyalnych. Po ukończeniu jej uczniowie otrzymają tytuł technika danej specyalności z prawem prowadzenia robót. Opłata wynosi rocznie w klasach przygotowawczych 80 rb. na kursach specyalnych 130. Kancelarya szkoły przy ul. Świętokrzyskiej 25.

Młodzież amerykańska wobec wojny. Z powodu intryg rosyjskich agentów wśród Polonii amerykańskiej wydał Zarząd Generalny „Związku Młodzieży Polskiej w Ameryce“ okólnik do wszystkich oddziałów Związku z wezwaniem do urządzenia zebrań manifestacyjnych w celu wyjaśnienia stanowiska Polaków wobec obecnej wojny tak przed koloniami polskiemi, jak i innymi współobywatelami Stanów Zjednoczonych. „Precz z caratem moskiewskim.! — Niech żyje wolna Polska Ludowa!“ — oto hasło rzucone przez Związek, które rozlega się od oceanu do oceanu po szerokich ziemiach gościnnej Rzeczypospolitej.

Od Czytelni Leobeńskiej otrzymaliśmy następujące pismo z prośbą o ogłoszenie:

Orzeczenie Sądu honorowego w sprawie między „Czytelnią Polską akademików górniczych w Leoben“, a grupą Leobeńską „Związku postępowej młodzieży polskiej“.

Sąd po zbadaniu sprawy, o ile mu zostały dostarczone dowody, oświadcza, że podniesione przez byłe stowarzyszenie „Promień“ zarzuty przeciwko „Czytelni“, dochodzące do odmawiania jej wszelkich kwalifikacyi narodowo - obywatelskich, a w szczególności zarzut braku poczucia narodowego, są nieuzasadnione. Wszelako zachowaniem się swojem w pewnych okolicznościach n. p. niepotrzebnem naśladowaniem niemieckich zwyczajów przy wspólnej koleżeńskiej zabawie i nadmiernem liczeniem się z opinią niemieckich burszenszaftów lub zapraszaniem na swe uroczystości osób nieodpowiednich, „Czytelnia“ dawała powody, by młodzież o drażliwszych uczuciach narodowych, jaką jest z reguły młodzież, pochodząca z zaboru rosyjskiego, w tych swych uczuciach czuła się przykro dotkniętą.

Z drugiej strony wszakże byłe stowarzyszenie „Promień“ w wyrażeniu swego niezadowolenia i w potępianiu faktów mu niemiłych posuwało się zbyt daleko.

Starcia, jakie wskutek tych nieporozumień między obu odłamami polskiej młodzieży akademickiej wynikły, doprowadziły do rozgoryczenia, które przekroczyło znacznie miarę doniosłości faktów i z ogólnonarodowego stanowiska za nad wyraz przykre i szkodliwe uznane być może.

Rozpatrzywszy się wszakże bliżej w przebiegu tych starć, sąd dochodzi do przeświadczenia, iż winną tu była nie zła wola, lecz młodzieńcza z obu stron krewkość i niezdolność zrozumienia przeciwnej strony. St. Grabski w. r., Leon Falski w. r., Władysław Mazurkiewicz w. r., Wacław Wolski w. r. Kazimierz Bartoszewicz w. r.

Zapoznany literat. Zdarzają się wypadki zmuszające do potrącenia o działalność takich jednostek, które zgoła nie zasługują na to, by o nich lub o ich czynach warto było wspominać. W poczet popobnych osobistości zaliczyć należy ks. Dyonizego Bączkowskiego, szambelana papieskiego, poetę i publicystę, krzewiącego zasady religii katolickiej wśród młodzieży kijowskiej. Okolicznością zmuszającą nas zajęcia się szanowną osobą ks. prefekta jest stanowcza zmiana frontu w jego działalności literackiej mianowicie przeniesienie takowej z gruntu polskiego na rosyjski. — Bo też na gruncie polskim niemiał ks. Bączkowski szczęścia. Zbiorek jego poezyi p. t. „Śnieżynki“ który pojawił się w r. 1896, został przyjęty z zupełnym chłodem przez czytającą publiczność.

Zwątpienie jednak skutkiem takiego przyjęcia o tyle tylko miało przystęp do osoby szanownego literata, że zmusiło go do porzucenia lutni, ale nie do wypuszczenia wogóle z rąk pióra. Po dwuletniej przerwie ks. Bączkowski występuje na arenę naukową z dziełem p. t. „Rys oswiaty średniowiecznej“. (Warszawa, nakładem autora 185 str.). — Nie wystarczyłoby wołowej skóry na wykazanie wszystkich bredni i bzdurstw, wypływających z nieznajomości dziejów tej epoki przez autora i z jego grubej naiwności tam, gdzie własne poglądy wygłasza.

Na tem wystąpieniu kończy się pierwszy okres literackiej działalności ks. B.; streścić jej ogólny charakter byłoby niepodobieństwem, bo żadnego poważniejszego charakteru nie posiada. Tak samo też żadnego wpływu na czytający ogół nie wywarła.

Temu właśnie niepowodzeniu przypisać należy wynalezienie nowej drogi, na którą wszedł zapoznany literat.

Leży właśnie przedemną jeden z licznych płodów długotrwałej zapewne pracy ks. Bączkowskiego: „Rukowodstwo dla izuczenja Zakona Bożia w średnieuczebnych zawedienjach czast' czetwiortaja. Sostawił magistr Bogosłowja ks. D. Bonczkowskij. Kijew 1904,“

W treść się nie zagłębiałem, bo i pocóż? Nicbym tam nowego nie znalazł, prócz zwykłej treści katechizmu. Chodzi mi tylko o omówienie samego faktu wydania podreczników w języku rosyjskim.

Żadne skargi i utyskiwania na brak odpowiednich książek w zakresie nauczania młodzieży zasad wiary nie mogą autora wobec społeczeństwa usprawiedliwić. Społeczeństwo mogłoby je uwzględnić w tym tylko wypadku, gdyby ks. szambelan przemawiał doń w języku ojczystym.

Ale w chwili, gdy młodzież polska we wszystkich dzielnicach dawnej Polski walczy, nie cofając się przed największemi ofiarami, by wiarę przodków słyszeć głoszoną i w przodków mowie, w takiej chwili podawać jej zasady religijne w języku rosyjskim, to to samo księże szambelanie, poeto i publicysto, co paraliżować jej dążności w tym kierunku, zamiast je wspierać, co iść ręka w rękę z carosławnym i prawosławnym rządem.

Nie wątpię, że tym razem uda się zapoznanemu literatowi dopiąć swych celów!,....

Będą pieniądze — będzie i sława! *Ilań.*

Nową szkołą techniczną średnią otwiera grono osób w Warszawie. Szkoła będzie miała na celu przygotowanie praktyczne techników. Kurs szkoły składa się z dwóch klas przygotowawczych ogólnie kształcących i trzech specyalnych. Po ukończeniu jej uczniowie otrzymają tytuł technika danej specyalności z prawem prowadzenia robót. Opłata wynosi rocznie w klasach przygotowawczych 80 rb. na kursach specyalnych 130. Kancelarya szkoły przy ul. Świętokrzyskiej 25.

Młodzież amerykańska wobec wojny. Z powodu intryg rosyjskich agentów wśród Polonii amerykańskiej wydał Zarząd Generalny „Związku Młodzieży Polskiej w Ameryce" okólnik do wszystkich oddziałów Związku z wezwaniem do urządzenia zebrań manifestacyjnych w celu wyjaśnienia stanowiska Polaków wobec obecnej wojny tak przed koloniami polskiemi, jak i innymi współobywatelami Stanów Zjednoczonych. „Precz z caratem moskiewskim.! — Niech żyje wolna Polska Ludowa!" — oto hasło rzucone przez Związek, które rozlega się od oceanu do oceanu po szerokich ziemiach gościnnej Rzeczypospolitej.

Od Czytelni Leobeńskiej otrzymaliśmy następujące pismo z prośbą o ogłoszenie:

Orzeczenie Sądu honorowego w sprawie między „Czytelnią Polską akademików górniczych w Leoben", a grupą Leobeńską „Związku postępowej młodzieży polskiej".

Sąd po zbadaniu sprawy, o ile mu zostały dostarczone dowody, oświadcza, że podniesione przez byłe stowarzyszenie „Promień" zarzuty przeciwko „Czytelni", dochodzące do odmawiania jej wszelkich kwalifikacyi narodowo - obywatelskich, a w szczególności zarzut braku poczucia narodowego, są nieuzasadnione. Wszelako zachowaniem się swojem w pewnych okolicznościach n. p. niepotrzebnem naśladowaniem niemieckich zwyczajów przy wspólnej koleżeńskiej zabawie i nadmiernem liczeniem się z opinią niemieckich burszenszaftów lub zapraszaniem na swe uroczystości osób nieodpowiednich, „Czytelnia" dawała powody, by młodzież o drażliwszych uczuciach narodowych, jaką jest z reguły młodzież, pochodząca z zaboru rosyjskiego, w tych swych uczuciach czuła się przykro dotkniętą.

Z drugiej strony wszakże byłe stowarzyszenie „Promień" w wyrażeniu swego niezadowolenia i w potępianiu faktów mu niemiłych posuwało się zbyt daleko.

Starcia, jakie wskutek tych nieporozumień między obu odłamami polskiej młodzieży akademickiej wynikły, doprowadziły do rozgoryczenia, które przekroczyło znacznie miarę donioslości faktów i z ogólnonarodowego stanowiska za nad wyraz przykre i szkodliwe uznane być może.

Rozpatrzywszy się wszakże bliżej w przebiegu tych starć, sąd dochodzi do przeświadczenia, iż winną tu była nie zła wola, lecz młodzieńcza z obu stron krewkość i niezdolność zrozumienia przeciwnej strony. St. Grabski w. r., Leon Falski w. r., Władysław Mazurkiewicz w. r., Wacław Wolski w. r. Kazimierz Bartoszewicz w. r.

Zapoznany literat. Zdarzają się wypadki zmuszające do potrącenia o działalność takich jednostek, które zgoła nie zasługują na to, by o nich lub o ich czynach warto było wspominać. W poczet popobnych osobistości zaliczyć należy ks. Dyonizego Bączkowskiego, szambelana papieskiego, poetę i publicystę, krzewiącego zasady religii katolickiej wśród młodzieży kijowskiej. Okolicznością zmuszającą nas zajęcia się szanowną osobą ks. prefekta jest stanowcza zmiana frontu w jego działalności literackiej mianowicie przeniesienie takowej z gruntu polskiego na rosyjski. — Bo też na gruncie polskim niemiał ks. Bączkowski szczęścia. Zbiorek jego poezyi p. t. „Śnieżynki“ który pojawił się w r. 1896, został przyjęty z zupełnym chłodem przez czytającą publiczność.

Zwątpienie jednak skutkiem takiego przyjęcia o tyle tylko miało przystęp do osoby szanownego literata, że zmusiło go do porzucenia lutni, ale nie do wypuszczenia wogóle z rąk pióra. Po dwuletniej przerwie ks. Bączkowski występuje na arenę naukową z dziełem p. t. „Rys oswiaty średniowiecznej“. (Warszawa, nakładem autora 185 str.). — Nie wystarczyłoby wołowej skóry na wykazanie wszystkich bredni i bzdurstw, wypływających z nieznajomości dziejów tej epoki przez autora i z jego grubej naiwności tam, gdzie własne poglądy wygłasza.

Na tem wystąpieniu kończy się pierwszy okres literackiej działalności ks. B.; streścić jej ogólny charakter byłoby niepodobieństwem, bo żadnego poważniejszego charakteru nie posiada. Tak samo też żadnego wpływu na czytający ogół nie wywarła.

Temu właśnie niepowodzeniu przypisać należy wynalezienie nowej drogi, na którą wszedł zapoznany literat.

Leży właśnie przedemną jeden z licznych płodów długotrwałej zapewne pracy ks. Bączkowskiego: „Rukowodstwo dla izuczenja Zakona Bożia w średnieuczebnych zawedienjach czast' czetwiortaja. Sostawił magistr Bogosłowja ks. D. Bonczkowskij. Kijew 1904,“

W treść się nie zagłębiałem, bo i pocóż? Nicbym tam nowego nie znalazł, prócz zwykłej treści katechizmu. Chodzi mi tylko o omówienie samego faktu wydania podreczników w języku rosyjskim.

Żadne skargi i utyskiwania na brak odpowiednich książek w zakresie nauczania młodzieży zasad wiary nie mogą autora wobec społeczeństwa usprawiedliwić. Społeczeństwo mogłoby je uwzględnić w tym tylko wypadku, gdyby ks. szambelan przemawiał doń w języku ojczystym.

Ale w chwili, gdy młodzież polska we wszystkich dzielnicach dawnej Polski walczy, nie cofając się przed największemi ofiarami, by wiarę przodków słyszeć głoszoną i w przodków mowie, w takiej chwili podawać jej zasady religijne w języku rosyjskim, to to samo księże szambelanie, poeto i publicysto, co paraliżować jej dążności w tym kierunku, zamiast je wspierać, co iść ręka w rękę z carosławnym i prawosławnym rządem.

Nie wątpię, że tym razem uda się zapoznanemu literatowi dopiąć swych celów!,....

Będą pieniądze — będzie i sława! *Ilań.*

Sprawa przedstawicielstwa młodzieży lwowskiej została nareszcie ponad wszelkie wątpliwości rozstrzygnięta. Prawo to przysługiwało nieprzerwanie Czytelni Akademickiej, która też je zawsze wykonywała. Jednak w ostatnich czasach usiłowała tutejsza spółka radykalna oponować krzykliwie temu długoletniemu prawu — a natręctwo to dochodziło do najwyższego stopnia przy pogrzebach wybitnych ludzi, gdzie nagle, nie wołani, nie proszeni, zjawiali się różni „reprezentanci" z pod ciemnej gwiazdy, dobijając się gwałtem do wystąpienia imieniem młodzieży. A najhałaśliwiej krzyczeli i protestowali wysłańcy kuchni akademickiej, klubiku ludowców, *Życia*, któremu dano „na pośmiewisko sprzeczne z naturą nazwisko". Nie pomogło wydziałowi Bratniej Pomocy, że jego przewodniczący ośmieszył dokumentnie jednym występem pogrzebowym i siebie i swoich, dla *Życia* zaś kilkomiesięczne (trwające dotąd) stadyum konania, nawiązana korespondencya z nieboszczykami (telegram do Edwarda Jellinka) w sam raz nadawały się do pogrzebowych funkcyj. Wreszcie ostatnie starcie podczas uroczystości Mickiewiczowskiej, knowania jednych, niepotrzebne pośrednictwo drugich, dały jaskrawo do poznania, że wreszcie musi sama młodzież rozstrzygnąć, kto jest jej przedstawicielem, by nie zdawać się na widzimisię różnych źle poinformowanych, lub wręcz złośliwie usposobionych komitetów.

Wobec tego uczuła się spółka radykalna bezradną. Nie ulegało wątpliwości, że większość młodzieży oświadczy się za Czytelnią, jak to już tyle razy uczyniła, więc ogłosili, że wstrzymają się od uczestnictwa, a wydział Bratniej Pomocy politechnicznej, dbały równie jak galicyjscy katecheci o polityczne zdrowie członków, ogłosił nawet pisemne do nich wezwanie, by na wiec nie szli. Mimo to wzięli udział w dyskusyi znani rzecznicy młodzieży socyalistycznej, oczywiście i członkowie Br. Pomocy w imponującej liczbie przekroczyli ów zakaz ojcowski.

Referentem był kol. Bator, który po dłuższem przemówieniu postawił następującą rezolucyę:

„Ogólno-akademicki wiec młodzieży polskiej zebrany dnia 10 listopada stwierdza, że wyłączne prawo przedstawicielstwa ogółu studentów-Polaków uczących się w wyższych zakładach naukowych lwowskich przysługuje nieprzerwanie od dawnych lat Wydziałowi Czytelni Akademickiej i jemu nadal przysługiwać będzie. Uchwała niniejsza nie ogranicza ani nie przeczy prawom „Ogniwa" do występowania imieniem całej młodzieży polskiej, ani też nie znosi przedstawicielstw poszczególnych zakładów naukowych, a w szczególności nie ogranicza reprezentacyi młodzieży politechnicznej, która przysługuje Wydziałowi Bratniej Pomocy studentów Politechniki".

Oponenci ze strony socyalistycznej nie próbowali mimo wezwań dowodzić „stronniczości" występów Czytelni, o której kiedyindziej tak hałaśliwie się mówiło, usiłowali nadto wpoić w słuchaczy przekonanie, że jeżeli część uprawnionych do głosowania na wiecu nie bierze w niem udziału, to większość nie może nic stanowić imieniem ogółu. Oczywiscie taki argument nie mógł nikomu trafić do przekonania i wniosek

referenta został uchwalony przez pięciuset obecnych, (kilku głosowało przeciw, kilku wstrzymało się od głosowania).

Na wniosek kol. Pomianowskiego uchwalono protest przeciw napaści na świętą dla nas pamięć Stanisława Szczepanowskiego, przeciw rtykułowi ogłoszonemu we lwowskim *Przemysłowcu* przez znanego karconego już przez młodzież pamflecistę i paszkwilanta, p. Andrzeja Niemojewskiego.

Uchwała przeszła jednomyślnie, nawet socyaliści obecni na wiecu ie śmieli się sprzeciwiać.

Równie jednomyślnie przeszedł wniosek kol. Szenkera o poparcie rzez młodzież usiłowań dla polepszenia losu dezerterom z zaboru rosyjskiego.

Wynik wiecu był nie równie korzystniejszy od innych tego rodzaju zwycięstw. Nietylko dzięki tłumnemu udziałowi uczestników i bardzo poważnej dyskusyi (najżarliwszych zwolenników wysyłają teraz nasi socyaliści zamiast na wiece studenckie — na agitacyjne zgromadzenia metalowców;) znamienne było, że przeciwnicy nasi nie mogli znaleść poważniejszego argumentu przeciw Czytelni, to też orzeczenie wiecu było tak stanowcze, choć wielu uczestników powzięło informacye dopiero na dyskusyi wiecowej.

Słyszeliśmy tam o „nowym kursie“ wśród młodzieży socyalistycznej, polegającym na stopniowem wyodrębnieniu się z wiru walk studenckich równocześnie ze zwrotem w kierunku bezpośredniej pracy społecznej. Ta zmiana, korzystna przedewszystkiem dla samego ruchu socyalistycznego, odpowiada w zupełności teraźniejszym jego siłom i bardziej zasługuje na uznanie, niż śmieszne przechwałki z przed kilku miesięcy o kierownictwie postępowym ruchem młodzieży polskiej przez (Partyę Socyalistyczną. (Zob. *Promień* III, *Teka* IV.)

Składki na jeńców — Polaków w Japonii zaczynają spływać ze wszystkich stron. Z Dublan (z w. szkoły rolniczej) nadesłano do red „Słowa p.“ datek 35 K. Pożądane są zwłaszcza książki i czasopisma.

OD REDAKCYI.

Za dość znaczne spóźnienie niniejszego numeru „Teki“, spowodowane przyczynami od Redakcyi niezależnemi, przepraszamy najmocniej naszych Czytelników; następny, grudniowy numer wyjdzie w terminie zwyczajnym, tj. przed świętami B. N.

A u t o r o w i artykułu o Prusach Królewskich donosimy, że z powodu nawału materyału musieliśmy odłożyć tę rzecz do następnego numeru.

K o l. P o c i ę g i e l. Żałujemy, ale z artykułu Waszego wymierzonego przeciw kol. Sępowi skorzystać nie możemy. Nie umieszczamy go zaś nie dlatego, żebyśmy przekonania Sępa chcieli komuś narzucać (czego najlepszym dowodem zamieszczenie w niniejszem numerze „Sporu

o nazwę i hasła“), owszem, przypuszczamy, że poruszone przez Sępa myśli staną się przedmiotem wyczerpującej dyskusyi na łamach naszego pisma. Z tem wszystkiem jednak przestrzeganie wysokiego poziomu dyskusyi i zasadniczego, rzeczowego, no... i nieosobistego ujmowania kwestyi -- czego nie mogliśmy się w Waszym artykule dopatrzeć — uważamy za nasz wprost publicystyczny obowiązek.

Errata. Już po odbiciu numeru zauważyliśmy parę „drukarskich dyablików“; i tak na stronicy 484 należy poprawić w kolumnie I wiersz 14 z dołu „szędzie“ na „orędzie“, wiersz 8 „z tego“ na „złego“, w kolumnie II wiersz 7 z dołu „Gallas“ na „Pallas“.

Pokwitowania.

Na Skarb Narodowy: VII klasa szkoły realnej w Jarosławiu stały podatek k. 6.

Uczniowie gimnazyum w Kołomyi stały podatek k. 29.20.

VI klasa gimn. w Bochni k. 2.60.

Z list Czytelni Akademickiej we Lwowie k. 67.94.

Na Tow. „Szkoły Ludowej“: Uczniowie szkoły realnej w Jarosławiu k. 17.60.

Na stypendyum dla kolegów z zaboru pruskiego: Uczniowie szkoły realnej w Jarosławiu k. 10.—

Na oświatę narodową: Młodzież szkół średnich we Lwowie dochód z kokardek, sprzedawanych w dniu odsłonięcia pomnika A. Mickiewicza k. 250.—

Na wydawnictwa „Teki“: X. z Krakowa k. 5.—

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **Bolesław Bator**.

Z DRUKARNI „SŁOWA POLSKIEGO WE LWOWIE
POD ZARZĄDEM J. ZIEMBIŃSKIEGO.